



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50, na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabięj Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Pamiętniki wygnańca (dalszy ciąg). — Droga do serca. Komedja opowiedziana przez Wołodego Skibę (Dalszy ciąg). — Do kwiatka (wiersz) przez Marję Okołów. — Listy Rzymianki — W pałacu i w chatce powieść Berthold'a Auerbach'a, przełożona z niemieckiego przez J. Belejowską (dalszy ciąg).

KARTKI Z PAMIĘTNIKÓW WYGNAŃCA Z FRANCUSKIEGO.

(Dalszy ciąg)

Wyszedłszy ze szkoły, poszliśmy zwiedzić sławny w Winchester dom przytułku, pod nazwą św. Krzyża. Zakład ten, dający schronienie trzynastu starcom, założony w r. 1136, przez brata Stefana de Blois, dzięki zbiegowi przyjaznych okoliczności, zdołał uchronić się przed echiwością Henryka VIII i fanatyzmem Kromwella, i nadto po dzień przechował wiele starych zwyczajów. I tak, ilekroć spragniony przechodzić, zapuka do gościnnych drzwi tego przytułku, odwierny podaje mu zaraz wyborny chleb i piwo, nie pytając kto jest, z kąd i gdzie idzie. Przeszedłszy przez starożytną bramę, umieszczoną u podnóża wysokiej czworograniastej wieży, znaleźliśmy się od razu jakby przeniesieni w wieki średnie, tylko bardzo upoetyzowane i ubarwione. Jak tylko oko zasięgnąć mogło, wszędy najpiękniejszy rozciągał się krajobraz. Z jednej strony budynki wznosiły się gotyckie arkady, pod którymi przechodzili się lub spoczywali poważni starcy, przybrani w długie czarne suknie, z wielkim srebrnym krzyżem wyhaftowanym na piersiach. Gmach ten słynie wspaniałą kaplicą, będącą prawdziwym arcydziełem architektury z XII wieku. Budowana pod kierunkiem Henryka de Blois, odznacza się poważnym i wspaniałym charakterem ówczesnych kościołów. P. Norris zwrócił moją uwagę na grube kolumny z cudnie rzeźbionymi kapitelami, i zaokrąglone arkady sklepienia cechujące architekturę normandzką. Zewnętrzna fasada kaplicy, jest dziełem Wilhelma de Wickbam, i odznacza się, równie jak wszelkie jego utwory, doskonałym wykończeniem i smakiem. Jakby poprzestając na tych starodawnych wielkościach, Winchester nie wiele liczy nowoczesnych instytucyj. Do najznakomitszych, z powodu ważnych usług jakie oddać może oświacie niższych klas społeczeństwa, należy bez zaprzeczenia tak zwany *Mechanic's Institute*, rodzaj stowarzyszenia naukowego dla pożytku młodych robotników, oficjalistów i kuczyków, którzy mogą tu przychodzić uczyć się albo tylko czytywać dzienniki i przeglądy. Zazwyczaj zakłady te mają swe muzeum i bibliotekę. Od lat kilkunastu, klasy robotcze budzą żywe bardzo zajęcie w całej Anglii; ileż to światłych umysłów i serc szlacheckich zajmuje się ich losem! Da-

wniej jednak i tam było inaczej, i właśnie wyż wspomniane *Mechanic's Institutes*, dały powód do długiej i zaciętej walki między proletariatem i patrycjatem, walki bardzo zagrażającej przyszłości Anglii, która przeżyła wówczas wielkie przesilenie społeczne.

Za ministerjum lorda Grey, ludność głośno zaczęła wołać o reformę, i to daleko natęczywszy i jednozgodniej, niż ludności innych krajów w 1848 roku — a tak w Anglii jak i wszędzie, w pojęciach tłumów, domaganie to nie tyle się odnosiło do censum wyborczego i rozszerzenia praw politycznych, jak raczej do zwiększenia dobrobytu materialnego i zniżenia ceny chleba. Ale rząd angielski prędko zrozumiał położenie; przyjął zaraz reformę sprowadzającą zniesienie praw zbożowych, i tym sposobem posunął jednocześnie kwestję polityczną i kwestję społeczną, kiedy tymczasem inne, nie pojmując potrzeby koniecznych ustępstw, spowodowały przewrót społeczny. W owych to właśnie chwilach strasznych grozących przesileniem, kilku światłych mężów gorliwych o dobro ogółu, powzięli zbawienną myśl założenia zakładów dla oświecania robotników, i w tym celu postanowili otworzyć dla nich zakłady naukowe w północnej Anglii. Była to myśl zbawienna, nie mająca nic wspólnego z kwestjami jakie wtedy zakłócały umysły, — ale w chwilach wielkich przesilen, każdy niemal przedmiot odczuwa na sobie skutki wywołujących je namiętności.

Wkrótce nauczanie ludowe stało się bronią i kwestją stronnictwa w ręku radykalnych czyli demokratów. „Nauka jest wszechpotężną siłą, wołali, oświećmy klasę robotczą, a będzie mogła narzucać prawa bogaczom“ i skutkiem połączonych usiłowań zakładali *Mechanic's Institutes* we wszystkich wielkich miastach Anglii. Przerażeni tem torysi i arystokracja, zaczęli wyrzucać filantropom i umiarkowanym, którzy pierwsi powzięli zamiar tworzenia podobnych zakładów, iż swą zbyteczną gorliwością o szerzenie oświaty, wstrząsnęli posady społeczne. „I cóżście zrobili, wołali, oto wkrótce znikną różnice społeczne, runie nasza stara konstytucja, a na jej gruzach pojawi się równość i walka społeczna!“ Na nieszczęście demokraci zaczęli postępowaniem swem usprawiedliwiać powzięte obawy, gdy pierwsze swe ciosy zwrócili niebawem przeciw kościołowi, co zagrażało bezpośrednio religji i moralności.

Widząc grożące niebezpieczeństwo, światłe duchowieństwo postanowiło własną ich bronią walczyć z radykalnymi, i w tym celu zaczęli zakładać instytucje odpowiednie *Mechanic's Institutes*, dla nauczania pobożnej i przykładnej młodzieży. W począt-

kach, podwójne te instytucje zacięły z sobą walczyły, ale niezadługo, skutkiem zbawienną reakcji, kwestja nauczania ludowego wyszła zwycięsko z walki, grożącej nieuchronną jej zagubą. Obie strony postrzegły że zadaleko się posunęły, a mężowie światli i pragnący dobra ogółu, zaczęli myśleć o pojednaniu krańcowych stronnictw. Pastrowie, biskupi, prawnicy, najznakomitsi politycy, połączyli swe siły, i wspólnie założyli *stowarzyszenie rozszerzania pożytecznych nauk*. W pięknym tem dziele ogólnego pożytku, najwięcej odznaczył się lord Brougham, który całe życie był najgorliwszym jego apostołem, i złożył tysiączne dowody szerokości poglądów i prawdziwego umiłowania ludzkości, dających mu prawo do niewygastłej wdzięczności współziomków. On i wielu z przyjaciół jego, zachęconych jego przykładem, wydali niezliczoną liczbę popularno-naukowych książek, jakimi nie zdoła się poszczycić piśmiennictwo innych krajów.

Wkrótce *Mechanic's Institutes* uległy zupełnemu przekształceniu, lecz choć dziś już odnoszą się do wszystkich klas ludności, zachowały jednak swą pierwotną nazwę. Obecnie nie ma prawie miasta w Anglii, nie posiadającego jednego lub nawet kilku podobnych instytucyj.

Weszliśmy do głównej sali zakładu. P. Norris objaśnił mnie, że cały ten budynek wzniesiony na użytek zakładu, zawdzięcza byt swój szczodrej hojności okolicznych panów i członków katedralnego duchowieństwa. Wielka sala w której znajdowaliśmy się, służyła na tygodniowe odczyty i zebrania stowarzyszonych; czasami była wynajmowana na inne takie zebrania. Obok znajdowała się biblioteka i sala do czytania dzienników, a po drugiej stronie dwa pokoje przeznaczone na klasy wieczorne. Biblioteka obejmowała 4,000 tomów; wszystkie sale urządzone były bardzo skromnie, bez żadnych ozdób, — na ścianach porozwieszane były mapy jeograficzne.

— Jakież nauki wykładają tu w klassach? zapytałem p. Norris.

— To stosownie do okoliczności, do żądań uczęszczającej do zakładu młodzieży, i osób chcących zająć się wykładem. Zdarzy się np. jakiś nauczyciel, amator, oznajmiający że ma zamiar wykładać historję starożytną; wtedy zbiera się liczba dobrowolnych słuchaczy i utworzą klasę; to znowu pewna liczba członków instytucji pragnie uczyć się geologii, wtedy jeśli w gronie stowarzyszonych i honorowych członków, nie znajdzie się nikt coby darmo podjął się wykładu, stowarzyszenie przybiera płatnego nauczyciela. Obecnie jest dwóch profesorów płatnych, śpiewu i rysunku, zaś kursa historii, jeografji, łaci-

ny, nauk przyrodzonych, wykładane są przez osoby dobrej woli, należące lub opiekujące się stowarzyszeniem. Jakkolwiek podobny rodzaj wykładu, grzeszy często brakiem systemu i metody, lecz z jednej strony głównym zadaniem zakładu, jest obudzenie i rozszerzenie zamiłowania w nauce, i temu celowi odpowiada najzupełniej, z drugiej zaś nie mielibyśmy funduszów na opłacanie wykwalifikowanych nauczycieli. Nadto nie ulega zaprzeczeniu, że te lekcje wykładane darmo, większy mają pociąg i większe w uczących się budzą zaufanie, a obok tego już samo zetknięcie się klas robotniczych z osobami wyższego stanu, zapewnia im wielkie moralne korzyści, bo uczy je kochać i szanować się wzajemnie.

— Taki stosunek między arystokracją a ludem, chyba w jednej tylko Anglii da się utrzymać, rzekłem.

— Czyż w tem wina? odparł p. Norris. Leży to niezawodnie w naturze ludzkiej, że mimowolnie uczuwamy jakiś szacunek dla osób wyższych od nas nauką i stanowiskiem. Ale chcąc żeby uczucie to mogło wyrobić się i utrwalić, trzeba koniecznie aby klasa wyższa nie zaskorupiała się w swem samolubstwie, i nie mniemała że wszyscy powinni bić jej pokłony za to, że raczy żyć dla swój tylko przyjemności; niech nie zapomina „że im więcej komu dano, tem z większego rachunku słuchany będzie“ niech zrobi pierwszy krok i wyciągnie przyjazną dłoń do klas robotniczych, — a gdy te przekonają się, że tak rodowa jak i pieniężna arystokracja zarówno pragnie ich dobra, ich moralnego i umysłowego rozwoju i postępu, wtedy zniknie wszelka z ich strony niechęć i nieufność, a miejsce ich zajmie poszanowanie i miłość. I wierząc mi pan, główną podstawą bezpieczeństwa i potęgi Anglii, jest właśnie ta zgoda i dobre wzajemne z sobą stosunki wszystkich klas społecznych.

Stowarzyszenie *Mechanic's Institutes*, składa się z członków uczestników i honorowych; pierwsi opłacają 1 szyling miesięcznie, drudzy 1 funt rocznie. Członkowie uczestnicy wybierają komitet i przewodniczącego; komitet ten odbywa posiedzenia co miesiąc, zarządza zakładem, wyznacza jakie kursa i odczyty mają się odbywać, kontroluje wydatki, a w rzeczach nadzwyczajnych, przechodzących jego kompetencję, odnosi się do rady nadzorczej, złożonej z kilku okolicznych *gentlemenów*.

Wieczorem tegoż samego dnia opuściliśmy Winchester, wracając do Lynmore gdzie mieliśmy być obecni na uroczystości *cricketu*.

(d. c. n.)

DROGA DO SERCA.

KOMEDJA OPOWIEDZIANA

PRZEZ

Wołodego Skibę.

(Dalszy ciąg).

— Jakże się pan bawił w Paryżu, — rzekła, i ciągle przekonana, że jej słuchacz ma słuch tępy, powtórzyła głośniej: — w Paryżu!...

Poprzedni wniosek że rozmawia z matką, wydał się znów nieprawdopodobnym panu Godziembi.

— Córka, bo ma głos taki silny, — szepnęła w myśli.

Nie dziwnego, że w takiej niepewności nie mógł się zdobyć na inne, oprócz ogólnikowych, odpowiedzi.

— W Paryżu, pani, tak jak wszyscy... — mówił, — zresztą my zagranicą nie przepędzaliśmy czasu tak jak zwykli turyści, na życiu lekkim i bez jutra, — my, przeciwnie... chciałem powiedzieć...

Przerwał sobie, wy dobył chustkę fularową i zaczął nią obcierać czoło.

— Fular!.. tabaczarz niezawodnie.. piękna perspektywa! — wniosowała panna Julja.

Nie mogąc się doczekać końca fularowych manewrów zakłopotanego pana Godziemby, bohaterka nasza czuła się zmuszoną podpowiedzieć mu ciąg dalszy zaczętego zdania.

— Panowie, w Paryżu i w ogóle za granicą przepędzali czas pożytecznie, — rzekła, — zwiedzali muzea, gabinety, galerje... muzea, galerje, — powtórzyła głośniej, — jest to bardzo chwalebne ze stro-

ny panów, choć zresztą bardzo naturalne... bardzo naturalne, panie. Synowiec pod okiem stryja nie mógł być lekkomyślnym, a stryj czuł się w obowiązku dawać przykład... w obowiązku dawać przykład, panie.

— Tak jest, pani, — odrzekł pan Godziemba — to jest, my obaj byliśmy ożywieni myślą przepędzenia z korzyścią dla kraju lat, które okoliczności nas zmusiły przeżyć za granicą.

— Winszuję panom... zaczęła panna Julja.

Pana Godziembę bardzo mało interesowało to powinszowanie. Zajęty w tej chwili tą samą myślą, która go dręczyła od samego ukazania się panny Borskiej, doszedł on wreszcie do ostatecznego wniosku.

— Nie!.. to musi być matka... albo córka — powiedział sobie.

W tej chwili, nim jeszcze panna Julja zdołała ukończyć zaczęty frazes, otworzyły się drzwi i ukazał się w nich człowiek znacznie młodszy od znajdującego się w salonie, mogący bowiem mieć najwyżej lat trzydzieści lub trzydzieści parę, wysoki, z wąsami które nie szpeciły bynajmniej jego męskiej twarzy, w ubraniu gustownem i eleganckiem, choć nie noszącym piętna wychuchania i przesady. Ruchy jego były swobodne, miłe, a cała postawa pociągająca. Nim zdołał krok postąpić, już go panna Julja spostrzegła.

— Ah!.. ktoś obcy — przyszło jej na myśl — a ja w takim ubraniu!..

Nie zdając sobie sprawy ze stosowności lub niestosowności tego kroku, wiedzona głównie tym instynktem kobiecym, który nie pozwala pokazywać się w stroju ujmującym wdzięku, nawet najobojętniejszym osobom, zerwała się szybko z krzesła, szepnęła bardzo śpiesznie „przepraszam“ i zniknęła tak prędko, że wchodzący nie miał czasu na niej oka zatrzymać.

III.

Dwaj goście pozostali sami. Dość było teraz rzucić na nich okiem, ażeby poznać, że ten co pierwszy przybył był stryjem, a nowo przybyły synowcem.

Panu Rafałowi mignęła się tylko w oczach sukienka wybiegającej panny Julji, spostrzegł więc tylko że przed chwilą stryj jego miał towarzyszkę, a teraz samotny pozostał.

— Bravo! — zawołał, wchodząc wesoło, — pań nie ma, albo długo na siebie czekać każą, więc stryjasek nie traci czasu... Złapałem na gorącym uczynku, *en tête-à-tête* z garderobianną.

— Pst!.. przez litosć!.. cicho Rafale, — zawołał pan Jan przestraszony, — wierząc mi to nie żarty, to kapitalna sprawa...

— Rozumiem... zaczął pan Rafał.

— Właśnie, że nie nie rozumiesz, mój kochany, bo ja sam także nie rozumiem... — odparł pan Jan; — wierząc mi, że to szkoda, iż się Ciebie doczekać nie mogłem i sam tu przyszedłem przed tobą. Gdybyśmy byli przyszli razem, zapewnibyśmy...

— Prędzej zrozumieli, nieprawdaż stryju?..

— Wątpię... zdaje mi się nawet, że i ty byś nie nie rozumiał..

— A! w takim razie nie żałuję, że się spóźniłem.. Lecz o cóż to chodzi mój stryju?..

— Zaraz, zaraz ci powiem. Wszak wiesz jakie mamy projekta?..

— Jakże miałbym nie wiedzieć?.. Daliśmy sobie słowo, bezwzględnie po powrocie do kraju pożenić się...

— Ażeby ród Godziembów nie zaginał..

— Ażeby się uwiecznił, stryju, w dwóch linjach starszej i młodszej.

— W tym celu, jak ci wiadomo, wszedłem w korespondencję z panią Borską..

— Młodą wdową, w której mieszkaniu jesteśmy... pocóż mi to powtarzasz stryju?..

— Poczekaj, zaraz dojdziemy do konkluzji... Pani Borska ma córkę na wydaniu, a ja bym nie chciał być ojczymem.

— Tę kwestję wzięłem na siebie i nie cofam się, stryju. Jeżeli córka nie jest... odrażającą, jeżeli ma choć w części te przymioty o jakich matka ci pisze, żenię się z nią i uwalniam cię od kłopotu. Cała sprawa jasna i czysta; — ty, stryju, będziesz miał żonę, do której niegdyś wdychałeś napróżno, — przekonasz się, że miłość jest jak bigos... odgrzewana lepiej smakuje... a ja... dla mnie to obojętne... cho-

ciaż młodszy od Ciebie, kochać się nie umiem i nie rozumiem romansów.

— Wszystko to dobrze, mój Rafale, — odrzekł pan Jan, — teraz słuchaj mojej konkluzji.

— Zapowiadasz ją od kwadransa, ale próżno nastawiam uszu.

— Wystaw sobie... widziałem ją...

— Matkę?..

— To jest...

— Więc córkę?..

— Jedna z nich dwóch...

— Lecz którą?... chcesz się bawić w zgadywane-go, stryju?

— Otóż właśnie, że tego nie wiem.

— Jak to, nie wiesz czy to była matka czy córka?..

— Daję ci słowo uroczyste... nie wiem.

— Poczekaj stryju, to tak nie może być... Są przecież znaki szczególne... Matki zwykle bywają starsze od córek...

— Widziałem tylko jedną i nie mogłem porównywać...

— Inny znak. Matki ubierają się poważniej niż córki.

— Tak bywało za dawnych czasów, dziś wyszło z mody to odróżnienie.

— Ależ kochałeś się niegdyś w matce!

— To cóż z tego?..

— Serce... ty wierzysz w serce... powinno ci było powiedzieć czy to ta do której wdychało.

— Serce mi nic a nic nie mówiło, — wyznał pan Jan dobrodusznie.

— No, widzisz stryju, czy to nie dzieciństwo miłość? — zapytał pan Rafał tryumfująco.

— Cóż chcesz?.. Nie widziałem jej dziesięć lat, a kochałem ją przed piętnastą, — odpowiedział pan Jan z westchnieniem, — wtedy była już zamężną... przysięga co ją wzięła z innym, nakazywała mi milczeć i cierpieć...

— Inne to były czasy, stryju — rzekł z uśmiechem pan Rafał, — dziś podobna przysięga właśnie nakazuje... mówić.

— Nie bluźnij, Rafale, tak bywa na zachodzie nie u nas.

— Kobiety są wszędzie jednakowe, — obstawał przy swoim synowiec, — ręczę ci, stryjaszku, gdybyś był wówczas śmielszy...

Pan Jan się oburzył i tupnął nogą.

— Nie gniewaj mnie, Rafale!.. — rzekł z powagą, — nasze Polki są poczciwe i zacne... nie godzi się wątpić o żadnej, a przedewszystkiem o tej, co była smutną ale czystą gwiazdą mojej młodości.

Pan Rafał ukrył uśmiech niedowierzający, i zaczął mówić innym tonem:

— Zgoda, stryjaszku, zgoda! obrażać cię nie chcę, ani myślę... Kto wie czybym nie był szczęśliwszy, gdybym miał twoje przekonania, — ale nie mówmy o tem... wracajmy do swoich konkluzji.

— Otóż, jak wiesz, widziałem ją, rozmawiałem z nią... krótko, ale to dosyć, i doszedłem do wniosku, że jeżeli to córka, to... nie nie mam przeciwko temu, żebyś ty się z nią ożenił...

— Wybornie, a jeżeli matka, to ja znów nie nie mam przeciw temu, żebyś ty ją wziął stryju... układ zostaje w swojej mocy...

Pan Jan nie zważał widać na słowa synowca, bo zamiast je potwierdzić lub wprost im zaprzeczyć, rzekł powoli i poważnie:

— Jeżeli to jest matka, Rafale, to w takim razie...

— W takim razie?..

— Przyznam ci się... że...

— Że?..

— Ja jej nie chcę.

Pan Rafał wybuchł ogromnym śmiechem.

— Stryju! — zawołał, — jesteś nieoceniony!.. Twoja konkluzja wysmienita!.. Pozwól, że cię uściłskam...

I wesoły synowiec rzucił się na szyję stryjaszka, który napróżno się bronił od tych złośliwych uściłsków.

— A gdzie stałość?... gdzie pamięć serca? gdzie te wszystkie piękne rzeczy, których mi wykladałeś teorję? — badał nieublagany pan Rafał.

— Piętnaście lat, mój chłopcze, — odpowiedział pan Jan tylko, na całe swoje usprawiedliwienie.

— W każdym razie, — nastawał dalej synowiec, powzięliśmy postanowienie jako ludzie rozsądni, daliśmy sobie słowo, przed lada czem cofać się nie godzi...

— Ty go dotrzyмай, ja się cofnę...

— Ależ, stryju, twoje cofnięcie się zmusza mnie także do odwrotu.

— A toż dla czego? — zaprotestował pan Jan, — wszak to może była córka.

— Tymbardziej, — tłumaczył mu pan Rafał, — jeżeli jest niemożliwą jako matka, tem jest niemożliwiejszą jako córka.

— Lecz jeśli to była matka? — zapytał znowu pan Jan.

— W takim razie, — odrzekł stanowczo synowiec, — choćby córka była aniołem, nie wezmę jej póki mi ktoś matki nie weźmie.

— Masz rację, — przyznał stryj, — matka żony... to...

— Jest to może wielkie szczęście, — przerwał nie dając mu dokończyć pan Rafał, — ale ja go w domu nie pragnę. Gdybym się żenił z uczucia, zapewne nie uważałbym na to, ale w małżeństwie konwenansowem, zawieraniem na zimno, ze wszystkim liczyć się należy. Widzisz tedy, stryjasku, że twoje cofnięcie się niweczy wszystko, i dla tego nie powinienes cofać się lekkomyślnie. Jakież masz zarzuty przeciw niej?

Pan Jan zaczął wyliczać:

— Najprzód... ma głos jak tambour-major.

— Mniejsza o to, nie dostanie suchot, — odparł synowiec.

— Powtóre: wygląda nie wiedzieć jak, — oskarżał dalej stryj, — wszystkie wieki przypisać jej można... Wystaw sobie dzień, o którym powiedzieć nie podobna czy jest letnim czy zimowym, wiosennym czy jesiennym.

— Tem lepiej, — adwokatował wciąż pan Rafał, — będziesz ją mógł uważać jak będziesz chciał... na przykład za wiosnę.

— Zartujesz... ja mówię serjo... nie chcę jej.

— Ani ja... Polegam co do tego całkiem na twym guście.

— W takim razie projekta nasze upadają?

Pan Rafał potwierdził skinieniem.

— I niepotrzebnie wracaliśmy do Warszawy, — dodał po chwili.

— A, niepotrzebnie, — nie mógł zaprzeczyć pan Jan.

— Jeżeli tak, — rzekł znów pan Rafał, to nie ma lepszej rady, tylko...

— Tylko co? — podchwycił pan Jan, któremu widocznie także o jakąś radę w tym wypadku chodziło.

— Wyjechać znowu.

— Niezła myśl — pochwalił stryj — małżeńskie plany nam się nie wiodą... wyjedźmy...

— Zostaniemy członkami klubu starych kawalerów w Londynie.

— *Members of the bachelors-club* — rzekł pan Jan — wolę niż ja... jeżeli to matka.

— Jeżeli tak — zauważył pan Rafał — to pocóż tu czekamy tak długo.

Ta uwaga przypomniała panu Janowi, że w istocie zbyt długo pozostawieni byli bez towarzystwa.

— No, te kobiety tak niegrzeczne, że nas pozostawiają samych, rzekł z oburzeniem.

— Przez godzinę — dodał poduszczając pan Rafał.

— Masz słusność, — rzekł pan Jan. — *à propos* niegrzeczności... jeżeli to matka, to już o niegrzeczniejszą trudno. Prosi cię siedzieć, ale takim tonem, że aż się ściany trzęsą... A w rozmowie, wystaw sobie, zaczyna o Warszawie, — odpowiadasz, — a ona ci dokończyć nie da i jednym skokiem jest w Paryżu. Nie! to okropne... Jeżeli to matka.

— Okropniejsze, jeżeli córka, — odrzekł p. Rafał.

Doszli do zupełnej jednomyślności. Potrzeba było tylko, żeby którybądź dał inicjatywę do opuszczenia placu boju.

Długo czekać nie trzeba było. Pan Rafał powiódł okiem po pokoju. Oko jego padło na kapelusze.

— Wiesz stryju... chodźmy — rzekł.

— Doskonała myśl, chodźmy — odpowiedział pan Jan.

Wyrzekając się wszystkich planów, myśleli już tylko o jak najspieszniejszym wydostaniu się ze stanowiska, na którym, jak im się zdawało, nie już dla nich nadal pożądanego być nie mogło.

Wzięli kapelusze, włożyli je na głowy, ujęli się pod rękę i maszerowali ku drzwiom.

Skrzypnięcie otwierających się od razu dwojga drzwi, zatrzymało ich nagle i przykuło do miejsca.

Instynktownie sięgnęli po kapelusze i odkryli głowy również machinalnie, nie puszczając się jeszcze z pod

ręki zrobili zmianę frontu, i zobaczyli wchodzącą jednemi drzwiami panią Borską, a drugimi pannę Julję.

Jeżeli długo czekać potrzebowali, to przynajmniej mieli na co. Obie, matka i córka, były w najwyszukańszych, najdobrańszych, najgustowniejszych tualetach. Matka szczególnie, odmłodziła, i mogła ująć za starszą siostrę jedynaczki, która znowu po zrzuceniu swego poprzedniego kostiumu zmieniała się prawie do niepoznania.

— Z którą mówiłeś? — zdążył szepnąć do ucha pan Rafał panu Janowi.

Pan Jan nie był zupełnie pewnym, tak ubranie zmieniło bohaterkę naszą, lecz nie miał czasu się namyslać, ani zastanawiać. Zresztą panna Julja powróciła temi samymi drzwiami któremi wyszła, i to mu ułatwiło odpowiedź.

— Z tą — szepnęła, wskazując oczyma pannę Julję.

— Nie ma co mówić — stryj bardzo wybredny, pomyślał pan Rafał, przypatrując się jedynaczce.

IV.

Że pani Borska, w czasie stosunkowo dość długim zdołała przywołać na pomoc całą sztukę, całego gustu, — że się ubrała tak iż widząc ją trzeba było konieczne uznawać ją za młodszą niż była w istocie, — było to jeszcze nie tak dziwnem. Ożywiła ją chęć podobań się, gdyż z rozmowy panów Godziembów dowiedzieliśmy się już, że jej chodziło nietylko o wydanie za mąż jedynaczki, lecz o wydanie siebie samej. Mogła także posłużyć się sztuką, umiejętnością, długoletnią wprawą, bliższą i zażyłą poufałością ze zwierciadłem, specjalną i wypróbowaną znajomością wszystkich sekretów gotowalnianych. Ale że córka naprędce zdołała zaimprovizować tualetę, najodpowiedniejszą swym rysom, wiekowi, uwydatniającą jak najlepiej wdzięki któremi ją uposażyła natura, — że ubierając się po raz pierwszy w życiu jako panna na wydaniu, jako dorosła i skończona osoba, zdołała prawie w jednej chwili ze swych zapasów gotowalnianych złożyć strój, któremu ani ze stanowiska dobrego smaku, ani ze stanowiska mody, a zatem z dwóch stanowisk, które tak często bywają wbrew sobie przeciwne — zupełnie nie zarzucić nie było można, — to pozostałoby niewytłomaczonym, gdyby się nie tłumaczyło owym instynktem, ową wrodzoną chęcią podobań się, wspólną wszystkim kobietom, nie odstępującą ich nigdy, i stanowiącą, byle nie przekraczała granic, jeden z ich najpiękniejszych powabów, a podnoszącą i podwyższającą wszystkie. Kobięcie z tym instynktem, z tą chęcią jest pięknie, — bez niej częściowo przestawałaby być sobą. Zaniedbanie pod tym względem nawet w najpiękniejszej raziłoby niemile, bo byłoby oporem przeciwko prawom natury kobiecej. Nam mężczyznom natura postawiła inne zadanie, które nie wyłącza z siebie piękności i uczucia, tak jak przykazanie dane kobiecie: „bądźcie pięknymi, bo piękność jest uczuciem“ nie wyłącza prawdy i wiedzy. Mężczyźnie zatem pięknym być wolno, kobieta piękna być powinna. Ta gdyby zapomniała o tem przykazaniu, a tamten gdyby je sobie narzucił, zarówno stanęliby w opozycji z prawami, których pod najłżejszą jeszcze karą śmiechności i oburzenia, przekroczyć nie wolno. Na drodze emancypacji i równouprawnienia kobiet, godzi się, można i potrzeba wiele uczynić — dwa jednak przywileje pozostaną póki świat światem, — przy mężczyznach przywilej siły, przy płci słabej przywilej wdzięku. Ztąd mężczyzna muskający się i pieszczący, stawiający sobie za zadanie delikatność i ładność, wychuchany, wycacany, zmieniony w lalkę albo w szyld sklepowy, jest równaż anomalią ze stanowiska smaku, rozumu i prawdy, jaką byłaby kobieta, gdyby zapomniała że jest kobietą i siłą z mężczyznami mierzyć się zachciała. Bajeczne amazonki nim przywłaszczyły sobie zadania i obyczaje męskie, musiały się kaleczyć jako kobiety...

Lecz... gdzież my to zaszli?... godziło się aż tak zapomnieć, że opowiadamy tylko komedią, jaką zbieg okoliczności odgrywał w salonie pani Borskiej, i żeśmy to opowiadanie przerwali na obrazie, który z natury rzeczy nie mógł trwać dłużej jak przelotną chwilę?...

Przepraszając jak najmocniej czytelniczki, za tę mimowolną niesubordynację naszego pióra, na którego usprawiedliwienie to tylko powiemy, że zwykle pilnuje się przedmiotu, i podobnych zbroczeń nader

rzadko sobie pozwala, wracamy do rzeczy, to jest do następnej sceny naszej komedji.

Panowie Godziembowie, pomieszani chwilowo, bardzo prędko przyszli do siebie. Pan Rafał wysunął swoją rękę z pod ramienia pana Jana i obaj rozpoczęli ukłony, — stryj szczęśliwy, że osoba z którą rozmawiał poprzednio, nie była panią domu, — synowiec zadziwiony, że osoba rzeczywiście piękna i wyraźnie młoda, tak zagadkowo niemiłe na jego stryju mogła zrobić wrażenie.

Matka i córka również pomieszały się cokolwiek. Pani Borska nie mogła nie dostrzedz, że przytrzymała swoich gości na wyraźnej dezercji, — panna Julja teraz dopiero spostrzegła, że ów pan z którym rozmawiała poprzednio, mógł bardzo dobrze być panem Godziembą, ale pewno nie był owym Rafałem którego jej przeznaczono. Obie ciekawie rzuciły okiem na swoich konkurentów, i obie wcale przyjemnego doznały zawodu.

— Prawdziwie, nie myślałam, żeby był tak młody, — rzekła do siebie matka.

— Ah!... to pewno ten drugi... no, ten by jeszcze uszedł... ale... Rafał, — mówiła w myśli jedynaczka.

Zaczęły się przeproszenia i ceremonje.

— Zawiniłam niezmiernie, — zaczęła pani Borska, żem panów naraziła na tak długie oczekiwanie... za które byłabym słusznie, choć może zbyt surowo ukaraną, gdybyście ponownie wykonali zamiar...

— Pani!... przerwał pan Jan, — w istocie nie mieliśmy wcale zamiaru...

— Przytem, — przerwał z kolei pan Rafał, — panna Julja była łaskawą dotrzymać towarzystwa...

Było widać przeznaczonem, że początek tej rozmowy składać się będzie z samych niedokończonych zdań, gdyż teraz panna Julja czuła się w obowiązku przerwania:

— O! i ja także winnam przeproszenie, żem się oddaliła tak nagle.

— Głos wcale nie przerażający, — rzekł do siebie pan Rafał, słysząc te słowa wymówione przyjemnym i ujmującym głosem panny Borskiej.

— Wszystkiemu temu, panowie, — usprawiedliwiała się dalej pani Borska, — winnem jest to, że jako kobiety same, żyliśmy przez czas długi w zamknięciu i odosobnieniu... Tem przyjemniejsze dla nas są odwiedziny panów, którzy wracając z wielkiego świata, wniesiecie trochę życia do naszego zacisza i rozweselicie nasze nudy...

W ciągu tej, cokolwiek dłuższej przemowy matki, jedynaczka robiła w myśli dalsze uwagi nad panem Rafałem, który ze swjej strony przypatrywał jej się z uwagą, pragnąc dojsć jakim sposobem przyczyny, która ją tak niekorzystnie przedstawiła panu Janowi.

— Rafał... brr! — myślała panna Julja, — wąsy, drab...

— Niczego, słowo daję, niczego, — powtarzał w duchu pan Rafał, — odrazu znać, że nie matka...

Gdy tak młodzi sobą byli zajęci, obowiązek odpowiadania i rozmowy z panią domu, spadał naturalnie na pana Jana, który uszczęśliwiony tem, iż rzeczywista pani Borska przechodziła jego oczekiwania, bynajmniej tego obowiązku nie uważał za uciążliwy. Odzyskał nagle swój dobry humor i rozmowność.

— Nam to raczej, łaskawa pani, — odrzekł, — cieszyć się i winszować sobie, że powracając do kraju po tak długiej niebytności, na samym wstępie znajdujemy dom, w którym zachowano dla nas dawną życzliwość, i przez który łatwiej nam będzie związać się na nowo, stalzemi jeszcze i m; szemi węzłami ze społeczeństwem, od którego nas okoliczności odłączały, a z którym wiązała tęsknota.

— Wybornie powiedziales, mój stryju, — wtrącił pan Rafał, — a ja bym dodał, że ta tęsknota była tembardziej usprawiedliwioną, że przez czas niebytności naszej, drobne dzieci przemieniały się w osoby, na które patrzeć trzeba z uszanowaniem i rozkoszą...

Ten komplement, wprost pod adresem panny Julji, wywołał uśmiech zadowolenia na twarz matki, a lica jedynaczki okrył rumieńcem, który nie koniecznie radość tłumaczył: jakkolwiek bowiem pan Rafał miłsze na niej zrobił wrażenie od swego stryja, serce jej oburzało się na myśl przyjęcia narzuconego konkurenta, i głosowało za swobodą wyboru.

— Tak... ułożył to sobie nim przyszedł, — pomyślała i milczeniem zbyła grzeczne słówko pana Rafała.

— Że nierozmowna, to prawda, — rzekł do siebie zrażony tą obojętnością młodszego Godziembą.

Pan Jan tymczasem uznał widać za dobry, tok jaki nadał rozmowie pan Rafał, spróbował bowiem attak tegoż rodzaju przypuścić do matki. Pochylił się ku niej i rzekł półgłosem, wskazując oczyma synowca:

— Oczarowany!... i nie dziwię mu się bynajmniej, gdyż sam także zostaje pod podobnym wpływem, patrząc na panią...

— Tak się zmieniałam? — zapytała z uśmiechem wdówka.

— Zmieniła się tylko różnica naszych lat, — odrzekł z galanterją pan Jan, — jest dziś większa o dziesięć, które mnie przybyły.

— Paryżanin!... uśmiechnęła się pani Borska.

— Stryjaszek grucha, — zauważył w myśli pan Rafał.

I zachęcony widać przykładem stryjaszka, przysunął się cokolwiek z krzesłem do panny Julji, w zamiarze spróbowania, czy powtórny komplementem rozmówniejszą uczynić jej nie zdoła.

Jedynaczka, mimowolnie czy z intencją, naśladowała jego ruch, i z odległością pomiędzy ich krzesłami stało się to samo mniej więcej, co z różnicą lat pana Jana i pani Borskiej; — przestrzeń jaka ich odzierała powiększyła się widocznie.

(d. c. n.)

Do kwiatka.

(Na pamiątkę młodemu nieznanemu)

Czyś widział kiedy w przesileniu porze,
Na wschodniem nieba sklepieniu,
Jak blask gaszący północną zorzę
Łamie się w nocy pół-cieniu?

Swiatła i cienia to pasowanie,
Jak srebra rozlew w eterze,
To technienie wiosny i jej zaranie,
To śmierci z życiem przymierze.

Cućą się władze śpiącej przyrody,
Pękają martwe okowy,
Wszystko się cieszy z danej swobody;
Z prochów powstaje świat nowy.

Flora się pieści listkiem w powiciu,
Nucąc mu piosnkę wskrzeszenia,
O jego wiosnie i letniem życiu
Sród lubej pieśni istnienia.
Wznosi się — buja, liść rozmarzony
O cudnych marach przyszłości,
Rad że kwieciste wkłada korony
Bo dosiadał życia piękności.
W tej młodocianej marzeń godzinie,
Przy własnej woni potokach,
Sądzi że błoga chwila nie minie,
W tęczęwój barwy obłokach.

Szkoda wywodzić kwiatek z złudzenia,
Niech się więc jeszcze niem pieści!
Niech się czarowną szatą ocienia:
— Aż czas mu zmianę obwieści.

Marja Okołów.

LISTY RZYMIANKI.

Spotkawszy w jednym z dawnych pisarzy francuzkich listy Rzymianki, obejmujące ciekawe szczegóły życia Rzymian, pospieszamy udzielić je naszym czytelnikom, nie wątpiąc, że zdołają obudzić ich zaniepokojenie.

Listy te są pisane w czasach pierwszego rozwoju rzymskiego cesarstwa, po bitwie pod Akcium, roku 30 przed Chrystusem; w której to, Oktawian wnuk Cezara, jeden z tryumwirów, ostatecznie zwyciężył swych współzawodników, i pod imieniem Augusta, ogłoszony został Imperatorem.

Rzym był wówczas na szczycie, chwały; — bo jeżeli już przebrzmiały bohaterskie poświęcenia z cnót obywatelskich wynikające, to świetność, jaką bogactwa i potęga nadają, jaśniała w całym blasku. Narody zawojowane jeszcze się korzyły w posłuszeństwie, pod naciskiem oręża rzymskiego. Z pomiędzy ościennych ludów, jedni może Germanowie, najdotkliwsze i bezustanne klęski legjom panów świata zadawali, mianowicie za czasów dzielnego, swego wodza, Armeniusza.

Przez podbicie Gallji, Rzymianie pozyskali w Germanach sąsiadów, których posiadłości rozciągały się na znacznej przestrzeni jej granic; i musieli, z tym małym dotychczas znanym sobie narodem, ciągle prowadzić wojny, dla odparcia napadów na Gallję. Jednocześnie zaś wchodzili z nim w stosunki handlowe, w celu nabycia płodów, jakich niejednokrotnie w Rzymie brakowało.

Germanami, Rzymianie nazywali lud zamieszkujący od niepamiętnych czasów kraje, położone względnie do Rzymu po za Dunajem, pomiędzy Renem a Odrą, gdzie są dzisiejsze Niemcy. Sąsiedni Gallowie, takie same nadawali im miano.

Według świadectwa łacińskich historyków, jak Tacyt, Plinijusz i Juljusz Cezar, Germanie byli ludem bitnym, zahartowanym w trudach wojennych; gościnność należała u nich do świętych, religijnych prawie obowiązków, kradzież była surowo karana, zalecała też ich czystość obyczajów. Tacyt, przypisuje im wiarę religijną podobną do rzymskiej; utrzymuje, jakoby czcili Marsa, Merkurego i innych bogów mitologii starożytnej. Lecz Juljusz Cezar bliższym jest prawdy, mówiąc, że Germanie oddają część boską przedmiotom, które widzą: jak słońcu, księżycowi i różnym siłom natury.

Polowanie, rybołówstwo, uprawa roli, nareszcie wojna, były to zatrudnienia mężczyzn. Kobiety zajmowały się obrządkiem domowym, przygotowywały żywność i odzież. Zarzucali Rzymianie tamtejszym krajowcom, zbyt częste jedzenie i picie; lecz ta wada łatwo się daje wytłumaczyć u ludzi, których głównym zajęciem jest ruch i praca fizyczna. Na wojnę występowali dobrze uzbrojeni w lance, łuki, szerokie miecze, puklerze skórzane i żelazne, oraz ogromne tarcze.

Życie jakie prowadzili, nie było pozbawione wygod i dostatku: położenie jeograficzne, określone korzystnymi warunkami, urodzajność gruntu, obszerne łąki, — pozwalając uprawy zboża i trzmania trzód licznych; bogate w drzewo lasy, ryb obfitość w wielkich rzekach, — zapewniając wszystkie wymagania i potrzeby, dawały oprócz tego mieszkaniem sposobność do wymiany płodów i zaprowadzenia stosunków handlowych, mianowicie z Gallją, z którą znowuż rozchodziła się oświata i łagodziła surowe ich obyczaje. Znali oni dobrze swój interes polityczny, — i stosunki handlowe o których wspomnieliśmy, nie przeszkadzały bynajmniej zatargom wojowniczym.

Dla obrony Gallji, legjony rzymskie ścigały Germanów aż w sam środek ich posiadłości; a gdy wypadek wojny pomyślnym się nie raz okazał, Rzymianie zagarnęli nie jedną prowincję, w których nawet czasowo osiedlały się rzymskie rodziny, mianowicie dowódców legij, gdy im wypadło dłużej w tamtym kraju pozostać.

Przy wyprawie legjonów za Juljusza Cezara, udał się do Germanji z dowódcą ich Agryppą, Serviljusz, należący do jednej ze znakomitych rodzin wiecznego miasta, i tamże przebywał aż do klęski, która zakończyła się zupełną porażką armji Warrusa. Obok tego nieszcześliwego wodza, Serviljusz na placu boju poległ. Cały majątek legjonistów, wszystkie ich ruchomości, sprzęty, bogactwa, nawet osoby z ich familji, popadły w ręce nieprzyjaciół.

— Tym sposobem córka Serviljusza, Alba Servilja, dzieckiem jeszcze podówczas będąc, uprowadzoną została z jeńcami wojennymi, a następnie, dostała się do domu jednego z dowódców germańskich; — gdzie, łaskawe, pełne względów obojętne, było jej udziałem. Przeżyła tam lat kilka, czerpiąc pociechę, w słodkich związkach przyjaźni ze swoją rówieśniczką wieku, Hermengardą, córką dowódcy germańskiego. Za jej to sprawą, i przy pomocy jej ojca, została odesłaną do Rzymu, gdzie za staraniem przyjaciół, zagniewany poprzednio August, i pociągający pozostałych legjonistów do odpowiedzialności za porażkę, — dał się ubłagać, i pezwolił

córce, zwrócić ojcowski majątek, na rzecz skarbu zabranego.

Młoda Alba, zachowując pamięć i wdzięczność w swem sercu, nie zapominała o tej, która swą czułością osładzała długie chwile niewoli i wygnania. Ztąd się zawiązała pomiędzy przyjaciółkami korespondencja, tak dobrze malująca życie ówczesnych Rzymian, — a szczególnym zbiegiem okoliczności, przechowana w pismach jednego z dawnych autorów, i tę obecnie przedstawiamy:

LIST I.

Rzym 8 rejestru Octobra.

August, ojciec ojczyzny i konsul.

Alba Servilia do Hermengardy.

Los wojny zapędził mię w niewolę do twojego kraju. Dzieckiem jeszcze weszłam pod cienie lasy Germanji, miałam zaledwo lat dziesięć. Po czterech latach wygnania, tenże sam los sprowadził mię napowrót do Rzymu, gdzie już nie zastałam ani ręki ojca, coby mię wsparła, ani też uściśnienia matki... Jestem sierotą ludu rzymskiego.

Imperator August przypomniał sobie ojca mego, dzięki wiernej pamięci Agryppy i Mecenasza; zwrócili mi wszystkie dobra rodzinne, senat wyznaczył moim opiekunem Aulusa Silwiusza konsula, w którego domu dzisiaj się znajduję. Żoną jego, tem samem moją opiekunką, jest Marcia Sylwia, pochodząca z rodziny Emiljańskiej.

Oby twoje życie upływało szczęśliwie, Hermengardo! Moje chwilowe poddaństwo, zamieniłaś w słodkie wspomnienie; ze wzruszeniem wolnem od wszelkiej goryczy, myślę o słodkich więzach, co mię zatrzymywały zdala od ojczyzny.

Słońce, Feb złotowłosa, dwa razy przebiegł niebios sklepienie, od czasu gdy przebywszy ponurą Gallów ziemię, głębokie Alp wąwozy, pola rzymskie, dostała się w mury miasta wiecznego. Ciężki smutek mię przygniał, i tylko życzliwe przyjęcie jakie doznałam od Marcji Sylwii, ulgę uciśnionemu sercu przyniosło. Ujrawszy moje odzienie, przybrana matka się uśmiechnęła; ponieważ zaś noc, o czarnej szacie gwiazdami zasianej, nadeszła, wezwała mię abym poszła spocząć, i sama odprowadziła przez szereg pokoi, ozdobionych z przepychem o jakim nie miałem wcale pojęcia, i przez szereg niewolników, — do pomieszkania mi przeznaczonego. Uważałam, że oprócz bogactw, zwykłych zapewne temu miejscu, wszędzie unosił się jeszcze jakiś blask uroczystości.

— „Niechaj cię to nie dziwi, rzekła Marcja, dnia jutrzejszego nasza córka Candida za męża idzie: nie przyszła dla tego ciebie powitać, że jako w wigilję swoich ślubów, i przez noc całą, czyni ofiary bogom rodzinnym.“

Obudziwszy się po przespaniu nocy spokojnej, wrzuciłam, jak mi poprzednio wskazano, srebrną gałkę w wazon spiżowy, stojący przy łóżku na trójnogu; weszło natychmiast kilka młodych, ładnych niewolnic. Niektóre były z twojego kraju, Hermengardo, będą pamiętała że i ja byłam niewolnicą... Zachęciły mię żebym wstała, gdyż Marcja Sylwia poleciła im przyprowadzić mię jak tylko będę ubrana.

Wypełniłam niebawem jej rozkaz. Zastałam przybraną matkę czekającą na mnie. Wczorajszego wieczora, Marcja jakkolwiek matka córki, która za męża wychodziła, wydała mi się młodą i piękną, dzisiaj zaledwo ją poznałam, miała bowiem twarz powleczonej jakimś miękkim ciastem. Musiało ją zabawić moje zadziwienie, gdyż na jej ustach uśmiech się ukazał. Wyszła z niszy, w której stało jej łóżko, całe wyłożone dywanami Babilońskimi, — otoczyło ją mnóstwo niewolnic nagich do pasa. Jedne z nich, zsunęły po złotych prętach, purpurowe zasłony, tłumiące zbyt czysty blask dzienny; inne znow, przygotowały bieliznę, otwierały cedrowe szafy, zmiatały pył ze srebrnych i stalowych zwierciadeł. Jak tylko Marcja przemówiła, wszystko stanęło w milczeniu.

— „Miałam sen dzisiejszej nocy, rzekła do mnie, i czekam na mojego filozofa chaldejskiego.“

Zastanawiając się w duchu nad tem, jaki związek istnieje może pomiędzy snami a mędrcem, zwróciłam jednocześnie uwagę na otaczające mnie przedmioty. Sypialnia Marcji ma wzdłuż i wszerz z dzieśnięć kroków; światło się do niej dostaje od góry, przez cienkie listki przezroczystego alabastru; ściany mają tło czarne, a po wierzchu ozdoby złote nader misternie odrobione; posadzkę stanowi mozaika, z wypisanych zdań i wierszy najslawniejszych poetów greckich i naszych. Podczas gdy zapatrywałam się na świetność miejsca tego, na łóżko szyldkretem wykładane, na stoły brązowe pokryte sidońską tkaniną, wszedł filozof chaldejski.

Rozmówił się z Syla po cichu, poczem ona go pożegnała. Uderzyła w ręce, i znów niewolnice nadeszły. Czarna córka Numidy, przyniosła w srebrnym naczyniu osłe mleko, nieco ciepłe, w którym Syla twarz umyła, pozbywając się tym sposobem powłoki złożonej z żółtek i mąki jęczmiennej, która ją pokrywała. Wówczas przystąpiły kobiety, przeznaczone do ubierania głowy; jedne grzały różnego kształtu żelazka, na węglach tłących się na spizowych trójnogach; drugie farbowały czarne Syla włosy, na kolor złoty, za pomocą mydła Galijjskiego; potem umiejąca niewolnic egipskich ręka, przypiekając je i podnosząc, nadała im kształt hełmu. Po ukończeniu tej czynności, ładna Greczynka otworzyła szkatułkę z perłowej masy, i posypała z niej na włosy swą pani mialki proszek złoty, który pokrywając każdy pukiel, włoszek każdy, nadawał sztucznie uczesaniu istotny pozór, starożytnego Minerwy szyszaka.

Wówczas przeciągnęły przed Syla, w licznych szeregu niewolnice, a każda trzymała w ręku, suknię odmiennego koloru, odmiennego kształtu i rozmaitych ozdób. Odrzuciła wszystkie, ukazując mi poprzednio ich świeżość i bogactwo.

— „W dzień małżeństwa córki, rzekła, rzymianka może mieć tylko na sobie, wełniane białe ubranie.“

I takowe włożyła, podczas gdy jej nogi obuowano w pasowe koturny, przytwierdzone złotymi plecionkami. Syla następnie otworzyła złotym kluczykiem, pudełko hebanowe wykładane stalą... Jakże ci opisać, skromna siostra Germanji, tobie, co strasz swe czoło tylko kwiatem polnym, lub pachnącą lasów jagodą, — jakże ci opisać to wszystko, co olśniło zdumione me oczy!... Wyobraź sobie stos pereł, rubinów, szafirów, białych opali, oprawnych dziwnie pięknie w złoto i tworzących naszyjniki, obrączki, bransolety, rozmaitej wielkości i różnych kształtów... Jedna perła z kolczyków, kosztowała 10 milionów sestersów, (półtora miliona złotych.) Syla wybrała sobie odpowiednie kamee i drogie kamienie, i pokryła niemi szyję, ramiona, palce. Potem dała znak Syryjskim niewolnicom, jedna z nich zdjęła, za pomocą złotego narzędzia, delikatny meszek, co mógł się znaleźć na rękach lub twarzy jej pani, i pianą z czerwonej saletry, z lekka pofarbowała jej licę; druga znów białym kolorem pociągnęła szyję i ręce; trzecia mosiężną iglicą, umaczną w czarnej farbie, nadała jej rzęsom i powiekom, czarniawą barwę, która miała podwyższać blask oczu.

Czy pojmujesz swobodna córo germańska, czem są kobiety w moim kraju? Ale nie natem koniec jeszcze: greczynka siostra dawniej Heleny, poprzyjęła na przeistoczonej twarzy Marcji, kilka muszek z czarnej materji, wykrojonych w półksiężyc, i podała jej pudełko z pastylkami, zrobionemi z mirtu, mastyksu, oraz z wina z wyspy Cos. Zjadła ich kilka, dla nadania przyjemnej ustom woni.

Ośmieliłam się natenczas zapytać mojej przybranej matki, kiedy zobaczę jej córkę?

— „Dzień ślubu jest wielkim dniem! odpowiedziała; ona idzie za Valerjusza Pollio, młodzieńca należącego do rodziny konsulów, z którym jest już od roku zaręczona. Miała wówczas lat jedenaście. Obecnie, czyni ofiary pożegnalne bóstwom Młodości, zawieszając na ołtarzu Wenery, swe zabawki i lalki dziecinne. Ubrana jest już, według zwyczaju przyjątego na dzień ślubu, w tunikę prostą i wkrótce tu się ukaże, odebrawszy poprzednio błogosławieństwo ojca.“

Gdy wspominałam o świetnych podarunkach, jakie zapewne Candyda musiała od swego narzeczonego dostać, moja opiekunka rzekła:

— „To jest zwyczajem narodów barbarzyńskich, i w Rzymie miejsca nie ma. Kontraktów ślubnych złoto kalać nie powinno, inaczej małżeństwo byłoby podobnem do publicznej licytacji. Córka moja dostała posag, należny dziewicom jej stopnia, to jest milion sestersów (150 tysięcy złp.). Idź teraz albo ubieraj się, i włoż na siebie stroje przeznaczone ci; pospiesz się, bo za godzinę Valerjusz Pollio przybędzie...“

O mojem ubraniu, nie będę ci opowiadała; domyślasz się, że nie dałam sobie włosów ufarbować, ani też obciąć dla włożenia peruki blond. Niewolnice germańskie sprzedają swe włosy, a w gospodach pobliskich świątyni Herkulesa, zakupują je rzymskie matrony, dla zastąpienia swych czarnych splotów.

Gdy już byłam z powrotem w komnacie Marcji, wielkie poruszenie w przyległych pokojach, oznajmiło nam o przybyciu jej córki. Ukazała się Candida, wprowadzona przez ojca; otaczały ją młode dziewczęta, przybrane w białe wełniane suknie, których żadna farba nie dotknęła; wdowy z wieńcami z białych kwiatów na głowie; matrony odziane w purpurowe — *regille, exoticum, palla*, i inne kosztowne suknie. Jedne miały gołe ręce i na wpół obnażone piersi; inne znów były całkiem pokryte długimi draperjami. Panna młoda miała na sobie białą suknię, ozdobioną purpurowymi frendzlami i wstążkami; pasek wełniany z kokardą uświęconego kształtu, obejmował jej wiotką i wysmukłą kibić, prostą, jak młode drzewko w lesie. Z włosów podzielonych na sześć równych warkoczy, spadał długi welon płymienistego koloru; małe nader nóżki objęte były w purpurowe koturny, haftowane perłami. Kosztowności nie miała żadnych, tylko zadatek zaręczyn, żelazny pierścień, na przedostatnim palcu lewej ręki: pomiędzy tym palcem a sercem, zachodzi pewien sympatyczny związek. Candida jest piękną, — blondyna, niskie ma czoło, noski mały, brwi czarne tworzą prześliczne dwa łuki, z pod których błyszczą pyszne oczy. Szeroka jest w piersiach, ramiona zaokrąglone miękko spadają. Rzuciła się rozrzewniona w objęcia matki, ta zaś ucałowawszy ją, wręczyła jej kądziel z nawiniętym runem; niewinne godło pracy, pamiątka obyczajów rzymskich, z czasów Fabrycjusza i Scypionów!

Gdy sługa przyszedł nas zawiadomić, że wielki kapłan czeka przy ołtarzu Jowisza, udaliśmy się do świątyni, gdzie Candida i Pollio zasiedli na krześle pokrytem skórą owczą. Kolejno wzywano wszystkich wielkich Bogów: Jowisza pana świata, Węstę i Minerwę, dobrych rad udzielającą, i Junonę, co obfitość na domy zseła...

Po dopełnieniu wymagalnych obrządków, słońce już ku zachodowi zmierzało; — wówczas dziesięciu świadków, oraz krewni małżonków zebrałi się w sali biesiadowej, ozdobionej girlandami z liści, oświetlonej lamp tysiącem. Przed wejściem do *triclinium*, mężczyznom rozdano właściwe szaty, w które się przebrali. W miarę przybywania gości, niewolnicy piękni i strojni, każdemu podawali w srebrnych naczyniach, pachnącą wodę do umycia rąk, oblewając każdego głowę perfumami i strojąc w wieńce kwiatów.

Innym razem opowiem ci o bankietach rzymskich, zobaczysz jak daleko posuwa się szaleństwo mych ziomków; dzisiaj, zakończę tylko opowiadanie o uroczystościach weselnych. Po ostatniej libacji, Pollio udał się do swego domu, dokąd Candida, opuściwszy objęcia matki, za nim pójść miała. Przyłączyłam się do orszaku, co jej towarzyszył. Dwoje dzieci pięknych jak miłość prowadziły ją za ręce, przed nią szły matrony poprzedzone muzyką, złożoną z fletów i lutni. Na czele szli młodzieńcy z pochodniami w ręku, którymi ruszając, śpiewali wesołe pieśni... Przybywamy nareszcie do bram pałacu Pollio, czekał na progu. Candida się zbliżyła, mąż zapytał jej: „kto jesteś?“ Odpowiedziała: „gdzie ty jesteś panem, ja będę panią.“ Wówczas Pollio oddał jej klucze domowe, ona zaś przewiązała wełnianą przepaską drzwi, namaściła zawiasy tłuszczem ofiary, i przestępując lekko progi, nie dotknawszy się ich, weszła do mieszkania, które odtąd będzie jej własnym.

Żegnaj cię dobra siostrze, pamiętaj o swojej niewolnicy, której serce pozostało przy tobie.

W PAŁACU I W CHATCE

POWIEŚĆ

Berthold'a Auerbach'a,

przełożona z niemieckiego

PRZEZ

JOANNĘ BELEJOWSKĄ.

(Dalszy ciąg)

XII.

Słońce zabłysło na niebie; pod drzewem, brzegiem lasu leży na murawie młoda, prześliczna kobieta, w długiej, ogoniastej sukni. Promienie słońca na twarz jej padają, — przebudza się, opiera na rękę swą śliczną, zwojami czarnych loków pokrytą główkę, i spogląda w oko obłąkanym wzrokiem.

Powietrze przeniknione było wonią lasu i świeżością wód; na wzgórzach odzywały się dzwonki pasące się trzody; łąka błyszcząca djamentową rosą, wszystko świetnym jaśniało blaskiem.

— Sama tylko Irma zatonęła w ciemności — długi czas upłynął zanim przebudziła się zupełnie, za nim przypomniała sobie z kądem się tu wzięła. Gdy nareszcie zebrała zmysły, nie poruszyła się z miejsca, w duszy jej ozwał się głos głuchy:

— Pocóż mnie zbudziła, niemiłosierna przyrodę! Czemuż boleść moralna nie zabiła mnie jeszcze?.. Słońce czego chcesz odemnie?.. nie chcę cię widzieć; — czoło moje napiętnowane ręką zmarłego ojca, sumienie dręczy okropnymi wyrzutami, czemuż mnie jeszcze nie zabiło.... Czemuż? czemuż?

Zamknęła oczy i odwróciła twarz od promieni słonecznych. Głos jakiś szeptał jej: „jeszcze czas, jeszcze noc ta może stać się tylko dla ciebie wspomnieniem piekielnej przygody, strasznym snem na jawie. Wracaj do świata! możesz, powinnaś wrócić.... dość już odpokutowałaś za twą winę....“

Niewidzialna jakaś siła zmusiła ją zwrócić się ku słońcu; tam, w oddali błyszcząca zwierciadłana powierzchnia jeziora, a fale jego powtarzają z cicha: „tam, w głębi moich toni, wszelkie myśli, wszelki niepokój, wątpliwość, rozpacz, na zawsze istnieć przestają.“

Wstała, i długo wpatrywała się w ślad, jaki ciało jej odbiło na murawie. Jeleń zraniony w serce, pomyślała, tak samo przygląda się miejscu gdzie ostatni spędził nocleg; i czemuż więc różni się od zwierząt na które polują w lasach?... I pocóż dręczyć duszę swoją? czyż nie lepiej jednym prędkim i śmiałym rzutem zakończyć wszystko?....

Włożyła na głowę swój mały okrągły kapelusik i zaczęła iść z tą myślą że jest sama jedna na świecie, że nie ją do niego nie wiąże, że zatem jest wszechwładną panią swego życia i śmierci. Suknia jej czepiała się co chwila o ciernie i oset; uwalniając ją poraniła o kolce delikatne swe ręce, nogi także były pokrawiane. Nagle uczuła głód ogromny, zaczęła płakać jak zabłąkane dziecko.

Łzy przyniosły jej jakąś ulgę.

Postrzegła przy drodze jeryzyny i morwy, zaczęła je zrywać i jeść z chciwością; spłoszone ptaszki uleciały z drzewa, zostawiając opróżnione gniazda; każde stworzenie na świecie ma swe mieszkanie.... Irma wpadła w głębokie zamyślenie. Spogląda na krzaki; tuż obok jeryzyn spostrzega bella-donnę, truciźnę.... Kto pragnie śmierci, niech tylko pokosztuje jej owocu.... Irma odwraca głowę, nie chce umierać w długich męczarniach, może na wpół tylko się zabić, stracić przytomność i wpaść w ludzkie ręce... Niel ona znajdzie śmierć pewną w niezgłębionych falach jeziora.

I znowu prędko biedz zaczęła, rosa maczała jej pokaleczone nogi, cała drżała od zimna.

W tem nagle rozeszły się w powietrzu dźwięki muzyki. Irma przesunęła ręką po czole, — nie, to nie muzyka, to tylko marzenie, to rozkosze świata przyzywające ją harmonijnymi dźwiękami: Chodź, chodź! wołają, my cię ukołyszemy naszymi głosami, bądź wesoła, swobodna, używaj życia....

Lecz znowu słycać muzykę i wystrzały, których odgłos echo gór roznosi daleko. Może gdzie w cichej wiosce obchodzą jakieś wesele; może młoda dziewczyna i młodzian kochający się tkliwie, łączą się nie-

rozerwalnemi słubami, a dźwięki muzyki wołają do gór okolicznych: Cieszcie się z nami! szczęście miłości jest wiekuiste, jak wieczną jest jej rozpacz....

Irma zatopiona w myślach szła machinalnie naprzód, i nareszcie doszła nad brzeg jeziora. Spojrzała, — widzi wilgotne wybrzeże, bagno zarosłe trzcina—słowem nic nie zapowiada natychmiastowej śmierci, ale może straszne, powolne konanie. Rozgląda się w okolo, — nareszcie upatrzyła szczyt skały prostopadle wysunięty po nad jezioro; wdrapuje się na niego, wyciąga ręce i pochyla nad przepaścią.... Ale cóż to za krzyk? Usłyszała wyraźnie rozpaczliwy krzyk, rozlegający się po nad wodą i wzywający ratunku.... kapelus z sunął się z głowy Irmy i wpadł w wodę z wierzchołka skały, — widzi istotę ludzką pasującą się z falami jeziora — ach! to czarnobrewa Estera — znikła w głębinie i znów nieco opodal unosi się na wód powierzchni.

Irma odwraca oczy, zbiega na podnóże skały; — tuż pod jej okiem spełniono czyn jaki ona spełnić zamierzała. Wszystkie jej członki są jakby sparaliżowane, słowa wymówić nie może, nareszcie pada na grunt wilgotny. Po chwili usłyszała wyraźnie słowa piosenki:

Jesteśmy złączeni, złączeni na zawsze,
Błogosławiona godzina naszego połączenia.

Podniosła się z ziemi; skądże się wziął ten śpiew?... Ociera oczy zalane łzami, krew płynie po jej twarzy — czyliż płakała krwawymi łzami?...

Wielka jakaś łódź coraz bardziej zbliża się do brzegu, — Irma wyraźnie słyszy głos Walpurgi: tak, to ona. Poznała swoją hrabiankę, woła jej — Irma zaczyna uciekać — Walpurga wyskakuje z łódki, biegnie, Irma dobywa sił ostatnich, — daremnie.

— Walpurga dogoniła ją, i zemdloną porwała w objęcia.

XIII.

Krew płynęła z czoła Irmy, Walpurga ukłękawszy przy niej, starała się powrócić ją do przytomności. Zdjęła z szyi chustkę i obwiązała nią zranione czoło Irmy, potem zerwała garść mokrej trawy i otrząsała rosę na twarz zemdlonej.

— Hrabianko ukochana, wołała z rozpaczą, dobra, kochana moja hrabianko, obudź się, przyjdź do siebie... ach! co ja pocznę!.. Na miłość boską, co się to stało?... Irmo! Irmo!....

Nareszcie Irma otworzyła oczy; z oddali słychać było głos Jana.

— Walpurgo! wołał, Walpurgo! gdzie ty tam jesteś?

— Czy to mąż twój? zapytała słabym głosem Irma. O! niech tu nie przychodzi, nie chcę żeby mnie zobaczył.

— Nie chodź tu, Janie, zawołała Walpurga, stając w pośród krzaków. Przyślij mi tu matkę, i prosz aby przyniosła wina, co tam jest zapakowane w niebieskiej skrzyneczce. Tylko prędko...

Irma powiedziała Walpurdze w kilku słowach, że ojciec jej właśnie umarł, a ona także chciała szukać śmierci w toniach jeziora. Machinalnie podniosła rękę do czoła:

— Co to? zawołała z przerażeniem.

— Zapewne padając musiałas uderzyć głową o kamień i zraniłaś się w czoło. Obwiązałam je chusteczką którą kiedyś dostałam od ciebie.

Irma zdjęła opaskę i długo wpatrywała się w chustkę krwią zbroczoną.

— To dobrze, dobrze, niechaj krew płynie.... to ulgę przynosi.... szeptała sama do siebie. Po chwili rzekła do Walpurgi: Ach! Walpurgo! to okropnie, — nie mogę umrzeć, nie mogę zadać sobie śmierci — i nie mogę żyć, — bo... bo... ja zbłądziłam....

I ukryła na łonie wieśniaczki bladą twarz swoją, gorzkimi zalaną łzami; Walpurga głośno płakała.

— Radź mi, pomagaj, powiedz co mam robić — prędko, prędko za nim matka twoja nadejdzie.

— Ja sama nie wiem, uspokój się, matka moja będzie umiała ci poradzić... ale, uspokój się, błagam cię... Widzisz, już krew przestała płynąć z twego czoła.

W tej chwili nadeszła Beata. Irma spojrzała na nią jakby na anioła zbawienia, a ona powiedziała bez namysłu:

— Wszak to twoja hrabianka, Walpurgo?

— Tak matko.

— Bóg z tobą, kochane dziecko, rzekła stara wieśniaczka, biorąc obie ręce Irmy. Widać zdarzyło ci się jakieś nieszczęście. Czyś upadła, lub też czy cię kto zranił w czoło?

Irma nic nie odpowiedziała, — w jej oczach widać jeszcze było obłęd; obie kobiety usiadły przy niej i podtrzymały rękami.

— Matko, mów co do niej, szepnęła Walpurga.

— Nie, dajmy jej przyjść do siebie, rzekła łagodnie matka, niech się wypłaczę; z każdej rany czy to zewnętrznej czy wewnętrznej krew płynąć musi.

Irma pochwyliła rękę starej kobiety i okryła je pocałunkami:

— Matko! zawołała, ty będziesz moim zbawczym aniołem; weź mnie do siebie, chcę na zawsze pozostać z tobą.

— Dobrze, moje dziecko. Uspokój się; — zobaczysz, tam w mojej rodzinnej stronie powietrze i wody są tak czyste i zdrowe, że nie zadługo odzyskasz siły i rany twoje się zagoją. Czy ojciec twój wie że tak błądziłaś po lesie, i czy wie jaki tego powód?

— Wiedział — a dziś już nie żyje... Walpurgo, powiedz matce jak jestem nieszczęśliwa!

— Nic nie nagli, odrzekła Beata, ponieważ zostajesz z nami pomówimy o tem później, a teraz napij się trochę wina.

Długo nie mogły odkorkować butelki, której kork przytwierdzony był mocnym drutem, nareszcie Walpurga przegryzła go zębami.

— Napij się trochę, kochana hrabianko, rzekła podając Irmie butelkę; jest to wino które doktor Gunther dał dla mojej matki — ma być bardzo zdrowe i wzmacniające, ale matka nie chce go pić mówiąc że nie potrzebuje jeszcze szukać w winie sił wzmożenia.

Irma wypila kilka kropel i rzeczywiście wino orzeźwiło ją trochę, tylko zaliła się na mocny ból w zranionej nodze, Beata zdjęła jej bucik i wyjęła cierń tkwiący w nabrzmiałej nodze. Irma podziękowała serdecznie i chciała znowu pocałować ją w rękę.

— Co robisz, moje dziecko, jeszcze mnie nigdy nikt prócz dziecka mego nie całował w rękę.

Irma oznajmiła że pragnie pozostać z niemi, pod tym jednak warunkiem, że prócz Beaty i Walpurgi nikt nie będzie wiedział kto ona jest, gdyż tylko ukryta i nieznana światu żyć mogła jeszcze, — inaczej śmierć sobie zada.

— Nie mów tak, przerwała jej prędko Beata, niech nigdy podobne słowa z ust twych nie wychodzą, bo to grzech wielki. Podobna gróźba nieby na mnie nie wymogła, ale dobrowolnie przyrzekam ci dotrzymać tajemnicy.

— I ja także, dodała Walpurga, podając rękę Irmie.

— Jedno tylko zapytanie, rzekła Beata: kiedy wyrzekasz się świata, czemuż nie wstąpisz do klasztoru, wszak teraz już prawo nie sprzeciwia się temu?

— Dobrowolnie dopuściłam się błędu, chcę więc dobrowolnie odpokutować za niego.

— Rozumiem cię — masz słusność.

Beata położyła rękę na czole Irmy, a potem obwiązała je białą chusteczką:

— Uspokój się, moje dziecko, za kilka dni zginie nawet ślad tej rany.

— Dopokąd żyć będę, opaska pozostanie na mojem czole, odpowiedziała Irma; potem prosiła żeby jej dano inne odzienie, aby Jan nie zobaczył ją w tem ubraniu.

Walpurga poszła do oberży stojącej nad wodą, obok miejsca wylądowania, — zastała tam już Jana bardzo niezadowolonego z tego niespodziewanego opóźnienia podróży. Był jakiś niespokojny i rozdrażniony. Piękne źrebię nabawiło go nie małego kłopotu, urwało się z linki i tylko co nie wpadło pod koła powozu. Walpurga zaledwie zdołała go uspokoić:

— Już wołałabym żeby się była łódka wyrzuciła i żebyśmy wszyscy wpadli w jezioro, mówiła płacząc, niż żebyś wchodził do naszego nowego mieszkania, zły i niespokojny.

— Ależ nie kłopotcz że się i nie martw daremnie, odrzekł Jan, jestem spokojny, i spojrzął na jezioro, jak gdyby znowu widział na jego falach głowę czarnobrewą Estery. — Po chwili dodał: ale trzeba się spieszyć, bo inaczej noc zaskoczy nas w drodze. Jeszcze kawał drogi, a konie mają co

ciągnąć.... Ale cóż się to stało? któż tam jest w krzakach?

— Dowiesz się nie długo, a teraz wierzaj że ja i matka dobry spełniamy uczynek, który nam Bóg sowiec nadgrodzi. Nie umiem ci wypowiedzieć jak jestem szczęśliwa, iż mi się nadarzyła sposobność doowiedzenia mojej przyjaźni i wdzięczności, tak dobrej i szlachetnej istocie; przekonana jestem że jak tylko ją poznasz, będziesz równie jak ja zadowolony iż możesz jej być użytecznym.

Walpurga mówiła z żywym wzruszeniem, Jan odpowiedział:

— Pojadę naprzód na wozie z rzeczami, wy możecie wsiąść do drugiego, tylko się nie opóźniajcie. Wuj Piotr was powiezie.

Tak więc Jan pojechał naprzód, a Walpurga wjąwszy z swęj walizki całe ubranie, zaniósła je Irmie, która siedziała przy Beacie, z głową wspartą na łonie starej wieśniaczki w pół ją trzymającej.

— Poznałyśmy się już doskonale, rzekła Beata do córki, i pewna jestem że nasza Ermengarda zupełnie w pośród nas przyjdzie do siebie.

Nikt nigdy nie wiedział, co Irma wznała starej wieśniaczce kiedy pozostały same; nareszcie Beata dmuchnęła trzy razy na jej czoło i rzekła łagodnie: przebierz się w nasze suknie, moje dziecko.

Irma wstała, weszła w gęstwinę krzaków i włożyła strój wieśniaczy. Wyszła z swego ukrycia z wzrokiem wlepionym w ziemię — od tej chwili nowe rozpoczęła życie.

Teraz zwróciły się ku oberży i weszły do gościnnej sali; tu wszystkie osoby i przedmioty wydały się Irmie jakby widziane we śnie; — z otchłani jeziora wchodziła w nowy świat. Wtem usłyszała jak gospodyni mówiła do Walpurgi:

— Czy to wasza krewna? zdaje się że jej coś brakuje — i ręką wskazała na czoło.

— Może to i prawda, odrzekła Walpurga.

Bolesny uśmiech skrzywił usta Irmy. Warjatka! tak, to doskonały płaszcz pod którym wybornie ukrywać się można.. I w tej chwili zdało się jej, że żelazne obręcze ściskają jej głowę.

Rzeczywiście pomięszanie zmysłów jest wybora maską, pod którą nie podobna prawie rozpoznać osoby; ale jakże to straszne musi ona przetrwać cierpienia i próby!....

XIV.

Beata najpierwsza wyszła z gospody, i zajęła się urządzeniem jak można najwygodniejszego łóżka na wozie pokrytym płótnem, prosząc zarazem brata który miał powozić, aby się zachowywał spokojnie i nie bardzo trząskał z bicia, gdyż wuj Piotr, ucieszony że mu powierzono wóz i konie, nie puszczał bicia z ręki i trząskał z niego nieustannie.

— A cóż to znów za zaczarowana księżniczka, żeby dla niej takie robić ceregiele? zapytał, gryząc ramię od bicia.

— To biedna chora, odpowiedziała Beata.

Jan już pewnie kawał drogi ujechał, trzeba było także pojeźdzać aby się nie zostać zbyt daleko. Teraz po raz pierwszy Irma zobaczyła dziecko Walpurgi; gdy wejrzenie jej spotkało się z wzrokiem dziewczynki, Burga się uśmiechnęła i wyciągnęła do niej rączkę.

— A to szczególna rzecz! zawołały razem matka i babka, zazwyczaj tak bywa nieśmiała i dzika.

Irma wzięła dziecko na ręce i serdecznie je uściskała. Zdawałoby się że w tej dziecinie ściskała własną swoją przeszłość, — radość i smutek walczyły z sobą w jej oczach.

— Widać, masz dobre, pocziwe serce, a dzieci potrafią to odgadnąć, rzekła Beata; — no, teraz odaj dziecie Walpurdze i wsiądź do wozu.

Wsiadłszy na wóz, Irma położyła się na przygotowanym posłaniu, a Beata, wzięwszy wnuczkę na ręce, usiadła przy niej. Walpurga i Gundel siedziały na przodzie, skąd mogły widzieć otaczający krajobraz; wuj Piotr szedł obok koni, smutnie spoglądając na bicz którym nie śmiał trząskać. Wszyscy milczeli, tylko mała Burga śmiała się wesoło i koniecznie wydierała się do Irmy.

— Staraj się zasnąć, rzekła Beata do Irmy, i powoli zaczęła nucić jakąś piosenkę, której jednostajne dźwięki uspiły Irmę i dziecie.

— Któż to tam zjeżdża z góry? zapytała nagle Walpurga wuja Piotra.

— Jeden jest żandarm, a drugi zapewne lokaj z jakiegoś magnackiego domu.

Gdy obaj jezdźcy się zbliżyli, Walpurga poznała Baum'a i z niewypowiedzianym przerażeniem skryła się pod płótno w głąb wozu, zostawiając samą Gundel na przodzie.

Za chwilę obaj jezdźcy stanęli obok wozu; dziecię obudziło się i zaczęło krzyczeć, — krzyk ten zbudził Irnę. Przez szparę w płótnie poznała Bauma — zadrżała — tylko tak cienka przegroda dzieliła ją od niego. Wtem nozdrza wierzchowca Bauma rozduły się, zaczął obracać głowę na prawo i na lewo, wstrząsnął się cały, spał na tylne nogi — jeździec za ledwie zdołał go powstrzymać. Irma od razu poznała rumaka; był to wierzchowca jęj Pluton; — widząc znalezione go i odprowadzono do pałacu. Gdyby koń mógł mówić, Pluton zawołałby niezawodnie: — Stójcie! nie szukajcie dalej; — pani moja jest tutaj.

Irma słyszała jak Baum wypytywał się Piotra.

— Nie spotkaliście czasem pięknej pani w błękitnej amazonce?

— Nie.

— A nie słyszeliście co o niej?

— Nic.

— A kogóż tam wieziecie na wozie?

Irma zadrżała; Walpurga pochwyciła ją za rękę, zimna była jak lód. Dziecię znowu głośno krzyczeć zaczęło.

— Dzieciak jakiś drze się na wozie, nie traćmy daremnie czasu, rzekł żandarm.

I odjechali; — Irma widziała wyraźnie mały swój kapelusik z orłem piórem, przyczepiony do siodła na którym siedział Baum.

Wóz toczył się powoli; — jezdźcy popędzili klusem Irma pochwyciła w objęcia dziecinę.

— Aniołku drogi, dziecinie mego serca, już to po raz drugi dziś zawdzięczam ci ocalenie... Ach! teraz już jestem wolną, nie obawiam się, nie czuję utrudzenia, mogę zsiąść z wozu i iść piechotą.

Beata prosiła aby pozostała na wozie, Irma usłuchała, położyła się znowu i niezadługo zasnęła, zapominając zupełnie że prosty wóz chłopski wiezie ją w góry.

Minęło południe gdy dojechały do gospody w górach, gdzie już Jan oczekiwał na nie.

— Teraz już razem jechać będziemy, rzekł do żony — a w łagodnym głosie jego nie było śladu rozdrażnienia i gniewu; — nie trzeba abyśmy każde z osobna zajeżdżali do nowego mieszkania. Wydałem już rozkazy parobkom, pojedają wolno, dopędzimy ich łatwo i już wszyscy będziemy razem. Chcę koniecznie wstąpić w progi naszego domu razem z żoną, matką i dzieckiem.

— Ach! jakże się cieszę widząc cię w tak dobrem usposobieniu. O! znam ja cię dobrze, mówiła dalej Walpurga; jak tylko jesteś w złym humorze, najlepiej zostawić cię czas jakiś samego, a niezadługo zatuschniesz za swemi i znowu dobry jesteś dla nich. Ale chodź, muszę z tobą pomówić; — dziś możesz mi dowieść mocy twego charakteru, a wtedy całe życie wierzyć będę, że mężczyźni przewyższają nas w tym względzie.

— I o cóż takiego chodzi?

Wyszła z nim do ogródka. Słyszałeś nieraz, mówiła, że w dawnych czasach były dobre duchy, dzieć wice gór, wnoszące szczęście i błogosławieństwo w domy, w których zamieszkać raczyły. Kładły jednak jeden warunek: aby ich nigdy nie pytać jak się nazywały i skąd przychodziły.

— Słyszałem, ale któż dziś wierzy w takie brednie.

— To też nie o to idzie abyś temu wierzył, ale żebyś się poddał pewnej próbie. Oto widzisz, ja i matka wieziemy z sobą na wozie dobre i śliczne stworzenie, przysłała jej dziwna myśl aby zamieszkać u nas. Jest tak dobra i łagodna, że nam żadnym nie będzie ciężarem. Teraz, powiedz mi Janie, czy zdołasz mieć tyle mocy nad sobą, aby nigdy, a szczególnie jęj samęj, nie pytać kto ona i skąd przybywa? Trzeba żebyś poprzestał na tem, że ja ją znam i wiem co robię pozwalając zamieszkać przy nas. Czy przyrzekasz być dla niej dobrym i uprzejmym? Czy chcesz i możesz zobowiązać się do tego?

— I toż to jest owa wielka próba, mająca dowieść siły i hartu mego charakteru?

— Tak jest, Janie.

— No, to i chęć i mogę to zrobić, daję ci na to rękę. Ależ to rzecz bardzo łatwa.

— Nie tak bardzo jak myślisz.

— Bądź spokojna, twoja przyjaciółka będzie z razem i moja.

Walpurga zbliżyła się z mężem do wozu, i unosząc płótno, rzekła:

— Ermengardo, mąż mój pragnie cię powitać.

— Dzień dobry, rzekła Irma, podając rękę Janowi.

Widok Irny w takie wprawił go osłupienie, że stanął jak wryty, aż Walpurga trąciła go aby uściśnął podaną rękę.

Rusznono w dalszą drogę, Jan z żoną poszli pod górę piechotą.

— Słuchaj, rzekł Jan, gdyby to nie był jasny dzień, gdybym ciebie, matki, dziecka, drzew i koni nie widział tak wyraźnie w około siebie, gdybym nie czuł że jestem zdrow na umyśle, — to doprawdy uwierzyłbym że rzeczywiście wieszczkę jakąś wieszysz na wozie. Czy ona nie kulawa? czy może chodzić?

— Najdoskonalej. I zbliżyła się do wozu mówiąc:

— Ermengardo, może wysiądziesz i pójdziesz z nami kawałek, patrz jak piękny otacza nas widok.

— Najchętniej, odpowiedziała.

I wysiadłszy z wozu, Irma szła powoli w towarzystwie Jana i Walpurgi; Jan ciągle ukradkiem spoglądał na nią. Coś piękna nieznajoma kuleje trochę, może to na prawdę Pani Jeziora z jedną nogą łabędzią, i dla tego trudno jęj chodzić.... Zaczął przyglądać się nogom Irny — maleńkie, ale takie jak u wszystkich kobiet — wtedy dopiero nie lękał się jęj przypatrywać. Nosi ubranie zupełnie takie jak ma jego żona, ale jakże piękna! jak cudnie piękna!... Jan sam nie wie co się z nim dzieje; zdjął kapelusik bo głowa mu płonie. Co to być może? ... czyżby żona jego miała władzę przedstawiać się w podwójnej postaci i z dwojaką twarzą?... Te i tym podobne, miotające nim myśli dziwne go niepokoiły.

Walpurga z umysłu zatrzymała się nieco, zostawiając ich z sobą. Irma myśli i myśli coby powiedzieć do Jana, — daremnie, — nie wie od czego rozpocząć rozmowę. Po raz pierwszy w życiu znajduje się w podrzędnym stanowisku, i nie wie jakim przemawiać tonem.

— Szczęśliwy jesteś, rzekła nareszcie, nie ma na świecie lepszej jak twoja żona i świekra.

— Tak, tak, nie mogę narzekać, odrzekł Jan.

Usłyszawszy tę pochwałę, chciał zapytać: Więc znasz je już dawno? ale przypomniał sobie że przyrzekł żadnych nie czynić pytań. Walpurga miała słuszną, nie tak to łatwo jak się zdaje powściągnąć ciekawość.

— Tu okolica jest dzika i smutna, dodał po chwili, ale tam na górze, gdzie nowy nasz dom stoi, kraj piękniejszy i weselszy.

I znowu chciał jęj zapytać czy zna tę okolicę — i łamał sobie głowę coby to mówić takiego, coby nie zakrawało na pytanie.

Irma zrozumiała że ona tylko może usunąć przymus kępujący Jana. Janie, rzekła, — i zaraz twarz jego rozjaśniła się jak tylko nazwała go po imieniu, chęć koniecznie wystawić sobie, że znasz mnie już bardzo dawno, i nie uważaj mnie za obcą. Nie nawykłam do prośb, mam jednak jedną do ciebie, i wiem że mi nie odmówisz bo ci pozezwie patrzy z oczu, i zresztą mąż Walpurgi umięjący ją uszczęśliwić, musi być zacnym człowiekiem. Proszę cię więc, bądź moim przyjacielem i pewnym że wam nie będę ciężarem.

— Któż o tem myśli, odrzekł, dzięki Bogu jesteśmy dziś w takim położeniu, że jedna więcej krowa przy żłobie, lub jedna więcej kobieta w domu, nie zrukuje nas przecie; — tak więc możesz (i zawahał się czy może tak do niej mówić) być zupełnie spokojna.... Wszakże już podjęliśmy się żywić i doglądać starca mieszkającego tam w fermie, jednak nie zabraknie nam chleba... A co się tyczy tego... co to nie chcesz powiedzieć.. to bądź spokojna także, zupełnie nie jestem ciekawy... Jeszcze tylko chciałem dodać, że gdyby kiedykolwiek chciał ci kto co złego zrobić, udaj się wprost do mnie, bo od tej chwili zostaję twoim opiekunem, i zawsze i wszędzie możesz liczyć na mnie... Zapewnie może nigdy jeszcze nie byłeś w górach, muszę więc dać ci radę, wchodząc na górę trzeba się trzymać tej zasady: Iść zawsze naprzód, nie zatrzymując się wcale.

Zatrzymali się, czekając na wóz. Jan czuł się znużonym, sam nie wiedział, czy drogą czy tak długą przemową; jednak w gruncie duszy był zadowolony z siebie. Irma usiadła nad drogą. Znajdowała się

teraz na tych samych wyżynach, które wczoraj widziała zarumienione promieniami zachodzącego słońca, odbijającego jaskrawo od śnieżystych szczytów. Olbrzymie wierzchołki gór widzianych z oddali, teraz zdawały się zbliżać i powiększać; — tu i owdzie z pomiędzy lasów przebijały pola i łąki, gdzie niegdzie pojawiały się małe domki. U podnóża toczył się strumień błyszczący zwierciadlaną powierzchnią, a cichy szmer jego mile pieścił ucho.

Jan, milcząc stał obok Irny. Nareszcie wóz nadjechał; pomógł jęj wsiąść jak tylko umiał najgrzeczniej, i nawet chciał zdjąć kapelusik — podziękowała z uśmiechem.

— To jakaś bardzo przyzwoita osoba, rzekł do żony. Damy jęj ładny pokoik, byle tylko nie obawiała się starca mieszkającego na górze.

Walpurga widziała z rozkoszą jak wszystko do brze się składa.

Widząc że Jan rozmawiał z nieznajomą, wuj Piotr chciał także coś jęj powiedzieć, — na początek trzasnął tak mocno z bicia, że aż echa gór i doliny kilkakrotnie trzask ten powtórzyły.

— Mówiłam ci przecie, żebyś się cicho sprawiał, zawołała Beata.

— Bah! przecie już nie śpi, odrzekł, a zwracając się do Irny: wszak prawda że trzaskanie z bicia wcale nie jest nieprzyjemnem?

Irma odpowiedziała żeby sobie żadnej dla niej nie robił przykrości, a ośmielony tem wuj Piotr, zapytał:

— Jakże ci imię?

— Ermengarda.

— Aha! masz imię mojej nieboszczki żony; wiesz co, jeśli chcesz, będę znowu miał żonę Ermengardę. Zaraz przedstawię ci stan mego majątku. Mam pół domu i kozę; za dom dużo jeszcze bardzo jestem dłużny, ale koza zapłacona w zupełności. No, mówże, chcesz pójść za mnie?

— Dajże pokój tym niedorzecznym żartom, Piotrze! zawołała Beata, choć w duszy nie bardzo się gniewała, że rozmowa zesłała na tok weselszy.

Mały człowieczek zatarł ręce i śmiał się z zadowolnieniem. Wprawdzie Jan jest teraz dziećcem, pomyślał, ale nie umie tak swobodnie rozmawiać z nieznajomymi. Wujaszek Piotr umie być przyjemnym i grzecznym; nie wiedząc co jeszcze mówić, zaczął zbierać dzikie poziomki rosnące przy drodze, i ułożywszy na liściu orzecha, podał je Irnie. O! Piotr wie że ma piękne znalezienie, a utwierdził się jeszcze w tem mniemaniu, widząc iż Beata uśmiechała się z zadowolnieniem.

(d. c. n.)

Opis czepeczka do chrztu, bluzek muślinowych, kapelusza pikowego i muślinowej krawatki.

Czepek do chrztu.

N. 1. Połowa czepeczka.

N. 2. Denko.

N. 3. Całość czepeczka.

Cały ten czepek z cienkiego muślinu bogato wyhaftowany, ma dwie kontrafałdowane falbanki z tiulu w około, obszyte i przepinane pukielkami z niebieskiej atlasowej wstążeczki. Pletnia z podobnej wstążeczki pokrywa przyszyte falbanek jak również połączenie denka z przodem. Bandaże niebieskie atlasowe. Wykroiwszy z muślinu podług każdej formy po jednej części przód N. 1 w całości, odrabia się haft podług naznaczonego rysunku i zszywa skracając w palcach brzegi, denko z przodem czepeczka, podług odpowiednich liter. Przód trzeba cokolwiek przymarszczyć. Brzeg zewnętrzny obrębia się w koło, wsunawszy poprzednio cienki sznureczek. Po dopełnieniu tego naszywa się garnirunek stosownie do wskazówek ryciny, i daje pletnią i bandaże gdzie wypada. W środku, nad samym czołem, można dać jeszcze rozetę z atlasowej wstążeczki.

Bluzka muślinowa z atlasowemi pliskami.

N. 4. Przód.

N. 5. Połowa pleców.

N. 6. Rękaw.

N. 7. Całość bluzki.

Bluzka ta z muślinu, ubrana jest, podług wskazówek ryciny, podwójnie branemi ukośnemi pliskami niebieskiego atlasu. Pliski te 1¹/₂ cent. szerokie, przy-

szywają się brzegami rozciętemi na bluzce tak, żeby druga strona ukosu wyglądała jak zakładka; przyszyte brzegów z strzępkami, pokrywa się 1 cent. szeroką białą gipiurką.

Na bluzkę, krajać trzeba obydwie przody, podług N. 4 przypuszczając 1 cent. muślinu na konieczne na przodach obręby do zapinania; podług N. 5 przykrawają się w całości plecy, podług N. 6 rękaw, pamiętając na kontur spodniej części rękawa. Plecy i przody stosownie do liter odpowiadających zeszyte, obejmują się u wykroju szyi $1\frac{1}{4}$ cent. szerokim prostym paskiem, który się pokrywa atlasowym ukosem, naszytym jeszcze koroneczką w górze. U dołu i przy bocznych rozporkach, obrębia się bluzkę. Prawy przód, obrębiony na 1 cent. szeroko, oszyty koronką, otrzymuje dziurki do zapinania co garnirunek pokrywa. Lewy przód, dostaje odpowiednią ilość guzików. Dalej daje się podług ryciny opisany garnirunek. Części rękawów, podług odpowiadających liter zeszyte, ozdabia się u dołu garnirunkiem i wszywa stosownie do liter, w wypustkowaną pachę, przyczem się rękaw cokolwiek przymarszcza.

Bluzka muślinowa z pliskami płóciennymi.

N. 8. Połowa bluzki.

N. 9. Rękaw.

N. 10. Całość muślinowej bluzki.

Przody i plecy bluzki tej krajać się razem, nie rozcinając na ramieniu. Przody zakładają się u dołu i zachodzą ukośno na siebie. Garnirunek składa się z ukosa cieniutkiego płótna na 1 cent. szeroki, i dwa mniejsze po $\frac{1}{4}$ cent. szerokości trzymające ukosy, wszystkie po 2 razy przystembnowywane i z brzegu najpierwszego ukosu 1 cent. szeroką koronką ozdobione. Na bluzkę krajać się podług N. 8 jedną część w całości. Najpierw zrobić od I do K szwy boczne, następnie przystembnować ukosy, podług wskazówek ryciny. Najpierwszy ukos, przykrywa przyczepienie koronki. Dolny brzeg bluzki fałduje się, zakładając krzyżyk na kropkę, z tyłu na gładkiej linii, daniej w miejscu gdzie wypadają krzyżyki i kropki podszywa się pod spodem prosty pasek muślinu 2 cent. szeroki. Dolny brzeg i otwarte na bokach rozporki, wązko obrębować należy. Przody, wszywają się u dołu, w pasek $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki, zapinający się na guzik i dziurkę, do którego to paska, przystukowywa się jeszcze zmarszczony $6\frac{1}{2}$ cent. szeroki pasek muślinu, wązko obrębiony u dolnego brzegu. Części rękawa przykrawane podług N. 9 z uwagą na dolny wykroj u góry, łączą się z sobą podług odpowiednich liter, garnirują, jak rycina wskazuje, u dołu i wszywają stosownie do liter w wypustkowaną pachę.

Kapelusz pikowy dla dziewczynki rok mającej.

N. 11. Połowa główki.

N. 12. Połowa rondka.

N. 13. Połowa karczka.

N. 14. Całość kapelusza pikowego.

Kapelusz ten z białej piki ma denko haftem ozdobione. Garnirunek rondka i karczka, stanowi karbowana batystowa falbaneczka. Kokarda z tegoż materiału dopełnia ubrania kapelusza.

Na kapelusz krajać się z piki podług N. 11 — 13 po jednej części w całości, N. 12 jednak z podwójnie złożonego materiału, tak żeby jego skład, wypadł na prostą linię stanowiącą przedni obwód kapelusza. Denko ozdabia się podług ryciny i wzoru wyhaftowanymi kółeczkami, i fałduje, zakładając krzyżyk na kropkę w około. W rondko wszywa się wzdłuż podwójnej linii na formie naznaczonej, trzcinę okrągłą lub drucik odpowiedniej długości, poczem się rondko marszczy. Następnie złączyć denko, rondko i karczek, podług odpowiednich liter, sfaldowawszy wprawdzie karczek u góry, co jest ułatwione przez zakładanie krzyżyka na kropkę. Rondko przyłożyć na denko wzdłuż punktowanej linii, pokrywając jego przyczepienie falbanką z batystu karbowaną, która bardzo ozdabia z przodu kapelusik i dana jest także naokoło karczka. Nakoniec dodają się pikowe bandaże, i kokarda nad czołem.

N. 15, 16 i 17. Desenie na krawatki muślinowe.

N. 18. Całość krawatki.

Krawatka muślinowa, u dołu w oznaczonym odstępnie przestębnowana czyli zaobrębiona, zarazem haftuje się na końcach podług jednego z przedsta-

wionych wzorów. N. 15 można wyszyć łańcuszkiem albo aplikacją. N. 16 i 17 wyhaftować atłaskiem.

Opis sukienki do chrztu, płaszczyka pikowego i sukienki z białej piki.

Sukienka do chrztu.

N. 1. Przednia część spódnicy i stanika razem krajane

(N. 2. Bok.

Na stanicek (N. 3. Połowa pleców.

(N. 4. Dolna część rękawa.

(N. 5. Wierzchnia część rękawa.

N. 6. Całość sukienki.

Sukienka z cienkiego muślinu, ma u dołu spódnicy 5 drobnych zakładek; przód jej jest kliniasty. Garnirunek składa się z haftowanych wszywek, podobnych falbanek i kokard z niebieskiej wstążki. Na sukienkę, krajać się podług N. 1 jedna część w całości; od N. 2 — 5 zawsze po dwie jednakowe części; krajać przód N. 1 przypuszcza się u dołu materiału na zakładki, toż samo i na tylnych częściach, — prócz tego przy obu połowach tyłu na dwie inne zakładki podłużnie wypadające do tyłu; nadto przypuścić trzeba do N. 2 i 3 około 2 cent. na obręb u dołu. Porobiwszy wymiarowane założenia na N. 3, przybiera się haftowaną wszywką, pod którą materiał wyciąć należy. Teraz wypada zczepić, przednią część, boki i plecy podług odpowiednich liter, opatrzeć tyły z brzegów, guzikami i dziurkami i obrabić stanik w około, na 1 cent. szeroko, który to obręb, służy do ściągnięcia. Każda spodnia część rękawa obrębiona u dołu, wierzchnia ubrana garnirunkiem, fastrzygują się razem i wszywają w pachę opatrzoną wypustką, uważając żeby G i H na E trafiło. Kliniasty przód przyszywa się bokami do innych prostych brytów odpowiednio długich, i ozdobionych u dołu zakładkami jak na przodzie. Z tyłu w samym środku wypada dać rozporek, poczem na obiedwie strony zmarszczona spódnica łączy się nieznanie ze stanikiem. Nakoniec stosownie do ryciny ubiera się sukienka falbankami i kokardami, dodając przy wykroju szyi, haftowaną szlarkę.

Płaszczyk pikowy.

N. 7. Połowa płaszczyka.

N. 8. Karczek do przodu.

N. 9. Połowa karczka do tyłu.

N. 10. Rękaw.

N. 11. Połowa pelerynki do płaszczyka.

N. 12. Całość pikowego płaszczyka.

Płaszczyk biały pikowy oszyty przezroczystą na $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką białą torsadą i białym bawełnianym sutaszem.

Na płaszczyk krajać trzeba z białej piki podług N. 7 jedną część w całości, przód płaszczyka stanowiącą, w oryginale 91 cent. długą; żeby tę długość otrzymać, podłuża się przy krajaniu, postępując w kierunku umieszczonej strzały. Podług N. 8 przyrządza się dwie części, podług N. 9 i 11 po jednej części w całości. Rękaw przykrawa się podług N. 10 uważając na formę spodniej jego części. Płaszcz obrabić trzeba w około u dołu na 3 cent. szeroko, z brzegu przodów na $\frac{1}{2}$ cent. tylko; potem daje się na nim ubranie, wyrysowane w części na N. 11 i podług wskazówek ryciny. Górny brzeg płaszcza fałduje się, zakładając krzyżyk na kropce oznaczających fałdy, i wszywa podług odpowiadających liter, opatrzawszy wprawdzie wypustką w karczek (N. 8 i 9) na ramionach od E do F złączony i na $\frac{1}{2}$ cent. z przodu obrębiony. Szew pokrywa się ze spodu wązkim ukosem perkalu. Brzegi przednie karczka naszywają torsadą w podłuż i opatrują haftkami do zapinania. Części rękawa od G do H i od I do K złączone, obrębają się wązko u dołu, ubierają podług wskazówek ryciny i wszywają w otwór pachy, tak żeby K na B trafiło. Dawszy w pelerynie fałdy na ramionach od gwiazdki do kropki, zakłada się brzeg jej w koło na prawą stronę na $\frac{1}{2}$ cent. szeroko, pokrywając naszytą w tem miejscu torsadą i garnirunkiem. Nakoniec łączy się pelerynę z płaszczem, podług odpowiadających liter.

Sukienka pikowa.

N. 13. Przód (jedno założenie na formie).

N. 14. Plecy.

N. 15. Pasek do przodu.

N. 16. Pasek do tyłu.

N. 17. Naramiennik.

N. 18. Krótki rękawek.

N. 19. Całość sukienki.

Sukienka ta z białej piki, ubrana jest ażurową torsadą 1 i pół cent. szeroką i sutaszem bawełnianym, wyszywanym w deseń. Wykroj staniczka i rękawki ozdabia 1 cent. szeroka gipiurka, naciągnięta wazniutką czarną aksamitką. Podłużyszy założenia porobione na formie N. 13 krajać się z piki podług N. 13 jedną część w całości, podług N. 14 dwie części, które stosownie do potrzeby przydłużyć należy, przyczem pamiętać trzeba o przypuszczeniu przy N. 13 i 14 na obręb dolny 3 cent. szeroki. Podług N. 15 przykrawa się jedna część w całości, podług N. 16 do 18 po dwie części, lewa część karczka 2 cent. dłuższa niż forma wskazuje, żeby się dobrze podkładała pod prawą stronę karczka. Zeszywając podług odpowiednich liter spódnice, szew między dwoma częściami tyłu N. 14 niedoszywa się od gwiazdki do górnego brzegu na rozporek, który się na pół cent. w około podwyrębia. Obrabiwszy dół spódnicy ubiera ją się podług ryciny i rysunku w części na formie umieszczonym i fałduje u góry i u dołu stanu, zakładając krzyżyk na kropce. Następnie wpuszcza się brzeg górny stanika, podług odpowiednich liter, między dwa brzegi paska z perkalową podszewką, podług stosownych liter z naramiennikami złączonego. Wzdłuż kropkowanej linii na N. 14 umieszczonej, prawy brzeg rozporka podwyrębić należy, lewy brzeg powinien zachodzić pod prawy brzeg rozporka aż do kropkowanej linii. Pasek ubiera się podług ryciny torsadą i sutaszem. Przód otrzymuje pasek prosty z piki, 3 cent. szeroki sutaszem ozdobiony, uważając ażeby wprawdzie przyszyć spódnice do stanika, pozakładawszy ją podług krzyżyków i kropek, które na siebie wypadać powinny. Na końcach paska, przyszywają się do stanika 80 cent. długie, 8 cent. szerokie bandaże z pikowej taśmy wazniutko obrabione, które się u dołu ozdabia przezroczystą torsadą i wyszywają z sutaszem. Taśma związuje się z tyłu na kokardę. U dołu obrębiony, podług ryciny naszyty garnirunkiem rękaw, łączy się od X do Y poczem wszywa w otwór pachy opatrzony wypustką. Nakoniec wykroj staniczka i dół rękawów oszywa się koroneczką.

Opis ryciny paryżkiej.

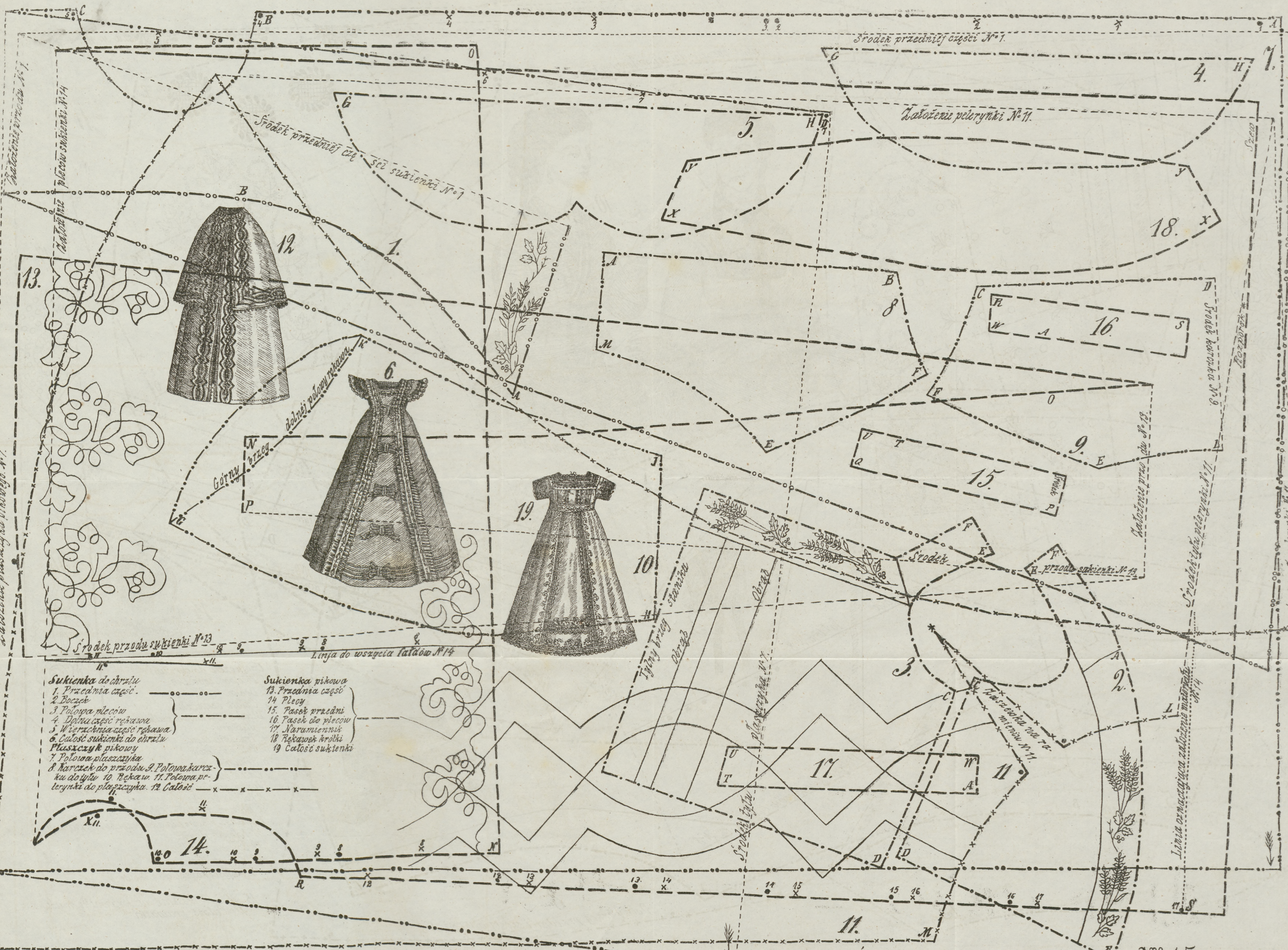
Figura 1. Ubranie wizytowe. Sukienka jedwabna niebieska, z wolantem fałdowanym u dołu. Wolant naszyty pletnią z takiejże materji, w ciemniejszym cokolwiek odcieniu. Szarfa objęta pletnią, zakończona frendzlą jedwabną. Rękawy wązkie, przybrane pletnią u ręki; u ramienia pletnia krzyżuje się, końce jej przybrane kwaścikami. Paletocik odpowiedni kapelusik z jedwabnego tiulu niebieskiego, szarfy tiulowe objęte rulonem krepowym i czarną koroneczką. Podpięcie składa się z pukli krepowych przepinanych czarną koronką.

Figura 2. Ubranie panny młodej. Sukienka podobna do siebie powłóczęsta. Tunika objęta podwójnym rulonem atlasowym i zakończona koronką angielską. Szarfy po bokach objęte tak samo, przytwierdzone do tuniki, kokardami atlasowymi, z kwiatem pomarańczowym. Stanik przepięty rzędem takichże kokard. Na ramionach kokardy. Welon illuzjowy. Nad czołem wianek z kwiatu pomarańczowego.

Ubranie czteroletniego chłopczyka. Sukienka popelinowa z oznaczonym kaftanikiem, przybrana kłapkami z pasowego kaszmiru. Kłapki objęte sznurkiem czarnym. Przód spięty na złożone guziczki. Pończoszki pasowe wełniane. Buciki z czarnego saffjanu.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.*

Do numeru dzisiejszego dołącza się rycina paryżka kolorowana i arkusz z 8 krojami.



- Sukienka do obrętu**
- 1. Przednia część
 - 2. Boczki
 - 3. Połowa pleców
 - 4. Dolna część rehawna
 - 5. Wierchnia część rehawna
 - 6. Całość sukienki do obrętu
- Plaszczyk pikowy**
- 7. Połowa plaszczyka
 - 8. Karczerek do przodu
 - 9. Połowa karczku do tyłu
 - 10. Bekaw
 - 11. Połowa pelerynki do plaszczyka
 - 12. Całość

- Sukienka pikowa**
- 13. Przednia część
 - 14. Plecy
 - 15. Pasek przedni
 - 16. Pasek do pleców
 - 17. Naramiennik
 - 18. Bekawek krótki
 - 19. Całość sukienki